KONGRES KULTURY POLSKIEJ

CENA 2 ZŁ

LUBLIN BIAŁYSTOK KIELCE RZESZÓW

Kamena

LUBLIN 30.IX.1966 Nr 18 (351) R. XXXIII DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY Wychodzi od 1933 r.

Fot. Andrzej Polakowski

Kartka na 7 października

ZYGMUNT MIKULSKI

JEST okolicznością szczególnego rodzaju, że główny akord obchodów milenijnych w naszym państwie zabrzmi w tonacji utworzonej przez zagadnienia kultury. Kongres Kultury Polskiej, będący jak gdyby ukoronowaniem obchodów Tysiąclecia, stanie się naocznym dokumentem znaczenia, jakie spadkobierca i kontynuator dziesięciowiekowych dziejów polskich — państwo socjalistyczne — przywiązuje do spraw twórczości, oświaty, wychowania, rozwoju społecznego i właściwego kształtowania stosunków międzyludzkich. Aż tyle dziedzin trzeba wymienić, ponieważ wiek dwudziesty analogicznie do osiągnięć techniki tak znacznie rozszerzył pojęcie kultury. Fakt jednak, że właśnie temu pojęciu przypadł honor reprezentanta naszych historycznych i współczesnych osiągnięć wymownie świadczy o roli, jaką kultura spełnia w życiu narodu, jak też o cenie, jaką naród przyznaje osiągniętym na tym polu dokonaniom.

Z racji geograficznych i politycznych warunków nasze ideały humanistyczne znajdowały się w szczególnie bliskim związku z życiem naszego kraju. Okres romantyzmu przypadł na lata niewoli i przez to zawiera tym dobitniejszy przykład służby, jaką polska sztuka spełniała wobec polskiego narodu. Mickiewicz był nie tylko wielkim poetą, ale również chorążym idei narodowej, a tworzone wówczas słowo polskie ważyło nie tylko jako wyraz artystyczny, ale również jako narzędzie oświaty i krzewienia narodowej świadomości. Także w czasach pozytywizmu sztuka i literatura dźwigały obowiązek służby społecznej, uporczywie kształtując postawy sprzyjające realnemu widzeniu ówczesnej rzeczywistości. W okresie Młodej Polski twórczość Wyspiańskiego i Żeromskiego zawarła najżywsze treści patriotyczne. Pozostanie też na zawsze symbolem bohaterska śmierć Baczyńskiego na barykadach powstańczej Warszawy, co Stanisław Pigoń określił lapidarnym sformułowaniem o sytuacji narodu, który zmuszony był do wrogów strzelać brylantami. Podobnymi przykładami historia literatury służy w każdym swoim rozdziale.

Nie potrzeba też zbyt drobiazgowych analiz, by z nurtu polskiej literatury wyśledzić idee postępowe i rewolucyjne. Pomińmy już nazwiska nobliwe, obrosłe patyną dziejów. Kruczkowski, Broniewski, Jasieński są wciąż obecni w dniu dzisiejszym polskiego pisarstwa i stanowią dobitny przykład podejmowanej piórem walki o społeczną sprawiedliwość. Również na arenie walki o pokój, jaką postępowa ludzkość prowadzi z tym większym natężeniem, im większym od poprzednich kataklizmem była druga wojna światowa, nie zabrakło polskiego słowa i polskiego głosu.

Są to wszystko tytuły do przyznania patriotycznych i społecznych zasług nazwiskom i zjawiskom z obszaru naszej sztuki, twórczości, kultury. Ale kongres, którego trwanie przypada na dni 7—9 października milenijnego roku 1966, nie będzie li tylko retrospekcją. Po pierwsze — nie w tym aspekcie odbywały się w ogóle obchody Tysiąclecia, a po drugie — nazbierało się zbyt wiele zagadnień, by ów wielki sejm polskiej kultury miał poprzestać na samym podsumowaniu, czy samej oficjalnej manifestacji. Sprawy się nagromadziły, a opinia publiczna i profesjonalna jak gdyby podświadomie wstrzymały się z wymianą poglądów, mając na uwadze zbliżające się wydarzenie, które z założenia objąć ma ów wielogłos na tak istotny temat. Rzecz naturalna — mówi się tu nie o samej imprezie, która ze względów czysto technicznych nie uniesie ciężaru wszystkich zagadnień, ale o jej doniosłym znaczeniu zawierającym potrzebę i możność wytyczenia przyszłych kierunków działania. Nie bez powodu coraz częściej w wypowiedziach przedkongresowych pada termin „idee motoryczne", obejmujący właśnie ten szereg wskazań, które zaowocować mają w jutrzejszym dniu polskiej kultury.

Natomiast w jej dniu dzisiejszym stwierdzić należy zysk sensownych i korzystnych ustaleń na linii polityka — twórczość artystyczna. Wpływanie na rozwój literatury, plastyki, dramaturgii z pozycji politycznych i społecznych nie odbywa się za pośrednictwem ingerencji w sprawy warsztatowe, czy przy pomocy postulowanego „modelu" mającego zastąpić nieodzowną dla sztuki wizję artystyczną. Odbywa się za pomocą przedstawiania problemów, które twórczość artystyczna ma do podjęcia, tematów, które oczekują swego artystycznego wyrazu. A także samo to przedstawianie zmieniło swój tryb i charakter. Już nie drogą sztywnych „narad" i „konferencji" z przygotowanym apriorycznie wnioskiem i środkami jego realizacji wpływa się na rozwój sztuki, ale przez tworzenie samej rzeczywistości materialnej i rzeczy-

(Dokończenie na str. 3)

Bogaci w kulturę?

TADEUSZ BARTOSZ

A WIĘC w Kielcach — Świętokrzyskie Dni Kultury mamy już za sobą. W tym roku były one może najbardziej okazałe, z całą możliwą pompą zrobione, jako że stanowiły część przygotowań do Kongresu Kultury Polskiej. Od 10 do 18 września pełno było w stolicy świętokrzyskiego kraju świątecznego ruchu. W teatrze grano „Niemców" Kruczkowskiego. Po całych dniach w parku koncertowały orkiestry i chóry związków zawodowych. Ulicami przeciągały korowody historycznych postaci, wśród których tak przecież wiele z Kielecczyzną było związanych. Wiele różnych wystaw: archeologiczna np. pokazywała Ziemię Kielecką w dziejach Słowiańszczyzny. W bibliotece na Czarnowie można było obejrzeć, razem zgromadzone, wszystkie książki, jakie napisano dotychczas o Kielecczyźnie. W Wojewódzkim Domu Kultury barwiły się jedyne chyba i niepowtarzalne w kraju świętokrzyskie pasiaki, krajki i zapaski — te od Suchedniowa, Krajna i Opoczna. Ruchliwe bardzo wśród innych Świętokrzyskie Towarzystwo Fotograficzne przyciągnęło widzów kieleckich i zamiejscowych artystycznymi fotozapisami kieleckiej ziemi. Wyszli „na plan" malarze, rzeźbiarze i pisarze. Wszystko, co najlepsze, najpiękniejsze w życiu i kulturze Kielecczyzny, zostało w ciągu tych kilku świątecznych dni pokazane. Całymi dniami można było chodzić i ciągle coś innego oglądać, czymś nowym i pięknym oczy i serce fascynować.

Można powiedzieć, że Świętokrzyskie Dni Kultury stały się dobrą kielecką tradycją. Bo na nich wzorować się zaczęły inne ośrodki i regiony województwa, mające swoje odrębne, sobie właściwe oblicza kulturalne, obyczajowe. Wziąć choćby Opoczno, gdzie również co roku Dni Folkloru z konkursami ludowych kapel („Dobra poleczka, bo skoczna, ale najlepsza z Opoczna"), śpiewaków i gawędziarzy, z wystawami i kiermaszami ludowej sztuki tkackiej i ceramicznej, urządza niestrudzony miłośnik opoczyńskiego folkloru Bolesław Wojewódzki.

Przysucha wysadza się znów zawsze na Dni Kolbergowskie, mają swoje „Dni" — Pińczów i Kozienice, Sandomierz i Stąszów, Radom i Ostrowiec.

* * *

Nie mogę jednak odpędzić myśli upartej. Oczywiście, cieszy to, że wyzwala się ludzka inicjatywa, że są kręgi coraz większe działaczy kulturalnych, ludzi z „małymi ojczyznami", miłośników swojego regionu, powiatowego kraju z jego kulturą, obyczajem, strojem i pieśnią.

Ale myśl uparta: czy te wszystkie „Dni" nie są jednorazowym wysadzaniem się, kulturalnym zastaw się, a postaw się — nie daje spokoju. Tak to chyba bowiem jest. Bo z tymi sprawami kultury w powszednim dniu — nie bywa tak wszędzie różowo, jak na świątecznych malowankach.

Na ubiegłorocznym jesiennym Sejmiku Kulturalnym Kielecczyzny mówiło się wiele słusznych słów, wyrażano wiele trafnych i cennych myśli, uwag i wniosków. A więc było i o tym, że nasza kielecka działalność kulturalna musi sięgać głęboko w tradycje historyczne, co miało oznaczać porównywanie współczesności z dawnym. Żyjemy na ziemi tak pełnej wielkich i pięknych wydarzeń, tradycji, ludzi. Wielka i piękna jest walka ludu, literatura i poezja, muzyka i pieśń.

Ale — to są prawdy znane. Sejmik jednak radził nad dniem dzi-

(Dokończenie na str. 8)

W francuskim piśmie **„AURORE"** **Jean Grandmougin** tak pisze o coraz większej roli zachodnioniemieckiej Bundeswehry:

„W chwili, kiedy armia francuska liczy 350 000 ludzi, Bundesweehra — 452 000, a w 1970 r. liczyć będzie 510 000, Niemcy Federalne są w trakcie stawania się głównym mocarstwem wojskowym kontynentu.

Od dziś do roku 1970, zwłaszcza jeśli wojna w Wietnamie będzie trwała nadal, VIII armia amerykańska licząca 225 000 ludzi i stacjonująca na terytorium niemieckim mogłaby być zmniejszona o 1/3. Amerykanie uważają, że wcale nie jest to potrzebne, aby stale utrzymywali tyle wojsk w Europie, biorąc pod uwagę, że przetransportowanie do Europy dywizji liczącej 15 000 ludzi byłoby dzięki nowym samolotom typu „C-2 A" mogącym zabierać jednorazowo 700 żołnierzy — sprawą kilku godzin.

Sprawa oszczędności: armia angielska licząca łącznie 440 000 ludzi mogłaby w ciągu czterech lat ulec zmniejszeniu do 340 000 ludzi. Już obecnie brytyjską armię reńską zmniejszono z 77 000 ludzi do 53 000 i przewiduje się dalsze wycofanie 10 000 ludzi.

W tych warunkach Bundeswehra stanie się za kilka lat armią nr 1 Europy, a sprawa generałów Bundeswehry nabiera w tym kontekście szczególnego znaczenia".

Autor zwraca następnie uwagę na znaczenie „pełnych uprawnień" przysługujących obecnym szefom Bundeswehry, po czym zapytuje:

„Czy oznacza to, że wielki sztab generalny o tak niesławnej pamięci został obecnie mniej lub więcej potajemnie przywrócony do życia? Czyż nie oprze się on na „koncernach", aby zmusić rząd do prowadzenia bardziej nacjonalistycznej polityki? Polityki niemieckiej? Sprawa zaczyna wyglądać poważnie, jeśli sobie uzmysłowimy, że przemysł nadreński jest w stanie wyprodukować swą pierwszą bombę atomową w okresie krótszym aniżeli półtora roku. Czy wkrótce dowiemy się, że Niemcy wygrały ostatnią wojnę? Ponieważ nie zdecydowaliśmy się zorganizować Europy wtedy, kiedy należało to uczynić, oto, do czego dochodzimy".

• • •

Amerykański tygodnik **„US NEWS AND WORLD REPORT"** zwraca uwagę na rosnącą popularność Roberta Kennedy'ego. Jak wynika z ankiety Gallupa ogłoszonej 21 sierpnia br., senator Robert Kennedy jest wśród demokratów bardziej popularny niż prezydent Johnson. Ankieta Gallupa wykazuje ponadto, że jeśli chodzi o wszystkich wyborców, to wolą oni, aby prezydentem został Robert Kennedy aniżeli republikański gubernator stanu Michigan — George Romney — w stosunku 55 proc. za Kennedy'm, 39 proc. za Romney'em i 6 proc. niezdecydowanych. Kiedy w ankiecie przeprowadzonej w lipcu Romney'owi przeciwstawiano Johnsona, 48 proc. głosów padło na prezydenta, 44 proc. na Romney'a, a ponadto było 8 proc. niezdecydowanych.

„W związku z tym politycy stawiają sobie pytanie: czy Robert Kennedy przygotowuje się do starania o kandydaturę z ramienia partii demokratycznej na prezydenta już w 1968 r., nie czekając aż do roku 1972?

...Niezależnie od tego, jaki będzie przebieg wydarzeń, zwolennicy Kennedy'ego sądzą, że ich człowiek znajduje się na drodze do Białego Domu.

Jednakże prezydent Johnson nie jest zwolennikiem senatora z Nowego Jorku. W istocie rzeczy Robert Kennedy bardzo go podobno irytuje, zwłaszcza od czasu, kiedy ankiety wykazują, że popularność Kennedy'ego wzrasta...".

• • •

Zachodnioniemiecki **„DER SPIEGEL"**, tygodnik zajmujący niejednokrotnie trzeźwe stanowisko wobec wielu zagadnień światowych, zamieścił komentarz pióra **Rudolfa Augsteina** pt. „Moralność przerażenia". Autor pisze m. in.:

„Widzimy w telewizji, jak całe regiony Wietnamu południowego ewakuowane są pod przymusem, jak całe wsie wylatują w powietrze. Zastygli w niezrozumiałej obronie starzy mężczyźni i kobiety dają się prowadzić, ich mienie spada z jadących galopem wozów i poniewiera się po ziemi.

Żniwa niszczone są przy pomocy specjalnych środków chemicznych. Napalm spala dziesięciu ludzi, którzy nie są bojownikami — wśród nich dziecko — dopóki nie wykończy jednego partyzanta Vietcongu. Codziennie liczy się zabitych wrogów. Ciężko ranni, półżywi jeńcy przesłuchiwani są przez oficerów amerykańskich. Broń, która w żadnym wypadku nie została dozwolona przez konwencję genewską, jest tu wypróbowywana z dobrym skutkiem.

...W Wietnamie północnym bombardowane są już tamy i zbiorniki wodne gęsto zaludnionego wybrzeża. Generał Taylor oświadczył, że pierścień wokół stolicy — Hanoi będzie coraz ciaśniejszy i że ataki lotnicze „niszczą wszystko, co Wietnam północny zbudował w ciągu ostatnich dziesięciu lat".

...Jeśli Amerykanie roszczą sobie prawo do utrzymywania każdego feudalnego reżimu ucisku przeciwko prowadzonemu przez komunistów powstaniu; jeśli nie może już dojść w świecie do żadnej rewolucyjnej zmiany, w której uczestniczą komuniści; jeśli może dojść tylko do czynów zbrojnych kapitalistycznych militarystów, jeśli zasada ta głoszona jest nie tylko w teorii, ale forsowana z całą siłą i bojową konsekwencją — to słuszność jest po stronie moralności komunistycznej, według której nie ma innej moralności, jak tylko rewolucyjna moralność zwalczania kapitalizmu przy pomocy wszystkich potrzebnych środków".

Na przykład Rostock

JAN BARECKI

ROSTOCK jest miastem, które zrobiło w Niemieckiej Republice Demokratycznej niecodzienną karierę. Wystarczy spojrzeć na mapę, by odkryć tajemnicę tego sukcesu. Zdecydowało położenie miasta.

Tak się złożyło, że NRD pozostała bez portu. Szczecin wrócił do Polski, Hamburg, Kilonia i Brema po rozbiciu Niemiec znalazły się w granicach NRF. Gospodarka naszego sąsiada nie mogła rozwijać się bez zorganizowanego dostępu do morza, bez odpowiedniego portu i żeglugi. „Republika musi mieć szerokie okno na świat!" — rozległo się hasło. Wybór padł na Rostock, stary, hanzeatycki port, który przed laty w okresie rywalizacji ekonomicznej między Hamburgiem i resztą portów, stracił całe swoje znaczenie. Tak rozpoczęła się kariera tego nadbałtyckiego miasta.

• • •

Jestem tu już trzeci raz. Stara znajoma, ulica Długa, przysadzista sylweta Kamiennej Bramy i ten sam specyficzny puls rozwijającego się miasta.

Mimo wojny zachowała się większa część Rostocku. Poza dobudowaną w tradycyjnym, nawiązującym do hanzeatyckiej przeszłości stylu ulicą Długą, stary Rostock tworzą małe, dwupiętrowe budynki, tak bardzo kontrastujące z wielkomiejskim ruchem. Nie wyłamuje się z tego obrazu uniwersytet, najstarsza wyższa uczelnia północnych Niemiec, ani ratusz, siedziba władz miejskich, pasują do niego sylwety świątyń i nad podziw dobrze zachowanych bram obronnych.

W znajomym krajobrazie miasta pojawiły się nowe akcenty. Na końcu głównej ulicy wyrósł nowoczesny hotel, zakończona została budowa kompleksu budynków prasowych. Nie zmieniło to wyglądu tej części miasta. Zresztą władzom Rostocku nie o to chodzi. Nowymi budynkami zagospodarowuje się nieliczne, wolne jeszcze place, właściwe zaś budownictwo rozwinęło się gdzie indziej.

Gospodarze proponują małą przejażdżkę. Poza nami zostają ulice z secesyjnymi kamieniczkami, przylepione do siebie okna wystawowe, hanzeatycka stylizacja ulicy Długiej. Nowy Rostock zajmuje nie mniejszy od starego obszar, jest to jednak zupełnie inne miasto. Setki nowoczesnych budynków, od tych zbudowanych przed 10—12 laty, wrośniętych w uformowane już otoczenie, w zieleń drzew i sieć dróg, do zupełnie nowych, postawionych wczoraj, żyjących jeszcze na pustkowiu żółtej gliny, w następstwie nowych wykopów i budowlanych dźwigów.

Wiele można odczytać z kształtu tego miasta. Zwracają uwagę zmiany w architekturze i technice budowania. Coraz większa prostota i funkcjonalność, coraz widoczniejsza troska o racjonalną oszczędność. Budownictwo z elementów prefabrykowanych wyparło tradycyjne metody. Domy powstają szybko i są tanie. Oczywiście, jest trochę monotonii w sylwecie osiedla, ale ostatnio zbudowane domy otrzymały już kolorowe elewacje, w kilku zaś miejscach wznoszą się nad płaszczyznę dachów smukłe wieżowce. Poza granicami starego miasta buduje się nie tylko domy mieszkalne. Przenoszą się tu uczelnie i instytuty, oddano niedawno do użytku szpital, buduje się ośrodki usługowe.

• • •

„Ląd żywi, morze bogaci" — tak brzmi stare, morskie powiedzenie. Rostock jest tego najlepszym przykładem. Morze wzbogaciło to miasto, po raz drugi w jego historii stało się tą siłą, która dała mu znaczenie i splendor.

Notes niemiecki

Kiedyś morze bogaciło w dosłownym tego wyrazu sensie. Silna flota pozwalała podbijać słabe kraje, ujarzmiać kolorowe ludy. Do metropolii płynęło złoto, drogie kamienie i minerały, pot podbitych zamieniał się w bogactwo najeźdźców. Dziś morze jest przede wszystkim warsztatem pracy, pracą tylko można się na nim wzbogacić.

Dla Niemieckiej Republiki Demokratycznej morze miało jeszcze jedno niemałe znaczenie. Powstała w dramatycznych okolicznościach do życia republika musiała zapewnić sobie odpowiednie warunki rozwoju. Morze stanowić miało nie tylko ważny element gospodarki narodowej, ale miało zapewnić młodemu państwu kontakt ze światem, możliwość prowadzenia wymiany i zabezpieczenia jej przed prowokacją.

— Doktryna Hallsteina odzwierciedlała przede wszystkim dążenie Niemiec zachodnich do politycznej izolacji NRD w świecie — mówi mój niemiecki przyjaciel. — Politykom bońskim chodziło również o ekonomiczną izolację naszego kraju, o pozbawienie nas możliwości wymiany międzynarodowej. Nie udało im się ani jedno, ani drugie.

Rostock odegrał w tym poważną rolę.

Do dziś w kanale portowym stoi stary statek. Nazywa się „Pionier" i służy rostockiej młodzieży do zabawy. W 1952 roku był on jedynym statkiem, jakim dysponowała NRD. W rok później republika miała już 3 statki. Dziś pod banderą NRD pływa 120 statków mających prawie 800 tys. DWT.

Takich symboli, jak ten stary statek przycumowany nieledwie w środku miasta, można tu znaleźć więcej. Przyjaciele niemieccy zaczynali w niezwykle trudnych warunkach, tworzyli wszystko od podstaw. Pierwszy statek rybacki, pierwsza stocznia, pierwsze uruchomione nabrzeże... Z roku na rok Rostock zamieniał się w morską stolicę NRD. W Warnow wybudowana została nowoczesna stocznia, rozrosło się przedsiębiorstwo połowów dalekomorskich, poczęły wzrastać przeładunki w rostockim porcie. Port ten jednak okazał się za mały, poczynało robić się coraz ciaśniej. W 1957 roku zapadła decyzja budowy nowego portu. Wybrano małą wioskę nad samym brzegiem morza, po drugiej stronie Warnemunde, kilkanaście kilometrów od Rostocku. Słucając opowieści o budowie nie można nie przypomnieć sobie naszej Gdyni. Nowoczesny port powstał w szczerym polu. Budował go cały prawie naród. Obywatele republiki zostali opodatkowani, chłopi zbierali kamienie i wysyłali je na budowę falochronu. W trzy lata po rozpoczęciu budowy do nowego portu zawinął pierwszy statek. Do dziś w porcie przeładowano około 18 mln ton towarów. Budowa trwa dalej. Wkrótce port rostocki będzie mógł przeładowywać 10 mln ton towarów rocznie. (Dla porównania: Szczecin, największy port bałtycki, przeładowuje około 11—12 mln ton rocznie). Jest to dziś najnowocześniejszy port na Bałtyku, uzbrojony w doskonały sprzęt przeładunkowy i sprawne zaplecze komunikacyjne, łączące go z republiką.

— W budowę portu zainwestowaliśmy dotąd około 600 mln marek — mówi mój przyjaciel. — Gdyby te 18 mln ton towarów, które przeładował Rostock od początku swego istnienia przeładowano w Hamburgu, nasz kraj musiałby za to zapłacić 267 mln marek. Połowa kosztów budowy portu już się zwróciła.

Ważniejsze od kosztów jest uniezależnienie się NRD od obcych portów. Gospodarka republiki uzyskała wygodne okno na świat, państwo zaś ważny instrument dla swej pokojowej polityki.

przegląd PRASY

TEGOROCZNY rok pracy kulturalno-oświatowej zaczyna się ważnym, wyjątkowym faktem. W Warszawie będzie obradować Kongres Kultury Polskiej. POLITYKA publikuje z tej okazji rozmowę z kierownikiem Wydziału Kultury KC **Wincentym Kraśką**, *który stwierdził, że „celem Kongresu jest spotkanie szerokiego kręgu ludzi od naukowców i pisarzy po bibliotekarzy i działaczy terenowych — i stworzenie im możliwości dyskusji nad złożonymi problemami życia kulturalnego, twórczości i upowszechnienia kultury. Z dyskusji tej, mamy nadzieję, wyłoni się możliwie całościowy program działania i inspiracja co do najważniejszych kierunków pracy kulturalnej".*

Oczywiście, chodzi nie tylko o podsumowanie dorobku historycznego i świąteczne przemówienia. Historia będzie tam przypomniana po to, aby lepiej zobaczyć nasz powojenny dorobek oraz nasze potrzeby. Oto słowa rozmówcy w tej materii:

„Ale warto czasem obejrzeć się za siebie, by ocenić, z jakich pozycji wystartowaliśmy, jakie trudności i przeszkody na naszej drodze pokonaliśmy. Nie jest, niestety, prawdą, jak niektórzy sądzą, że wszystko już zostało zrobione w zakresie oceny przeszłości kulturalnej i analizy naszego dorobku. (...) I byłoby czymś zdumiewającym, gdyby Kongres obradujący w ostatnim roku obchodów Tysiąclecia Polski pominął milczeniem przeszłość i dzień dzisiejszy kultury polskiej. Wydaje się to niezbędne, choćby dla uświadomienia sobie i narodowi miejsca, w którym jesteśmy i zadań, które nas czekają".

W KULTURZE **Bogumił Drozdowski** na przykładzie doświadczeń Lublina pisze o tym *„Jak upowszechniać kulturę filmową?"*. Okres DKF-ów mamy już poza sobą, trzeba więc szukać nowych sposobów dotarcia do nowego widza. Przy lubelskim oddziale TWP istnieje sekcja, która zajmuje się popularyzacją filmu w środowiskach takich jak szkoła, wieś czy małe miasto. W województwie lubelskim znajduje się w szkołach 1200 aparatów projekcyjnych, a tylko około 500 służy swemu przeznaczeniu. Pisze Drozdowski:

„W najkrótszych słowach — chodzi tu o jak najpełniejsze wykorzystanie filmu fabularnego i wszystkich jego gatunków pozafabularnych w pracy oświatowej i wychowawczej z jednej strony, a propagandę filmu artystycznego z drugiej. Film oświatowy, dokumentalny i fabularny jako ilustracja TWP-owskiego odczytu, gdy trzeba jako wabik dla jakiejś akcji propagandowej, gdy trzeba wreszcie jako wartość sama w sobie, film trudny wymaga przybliżenia do publiczności, za pomocą prelekcji czy nawet tylko krótkiej informacji. Sekcja Wojewódzka organizuje już sekcje powiatowe, organizuje rozliczne Koła Miłośników Filmu, „przerabia" kierowników kin na działaczy kulturalnych, w 17 kinach województwa odbywają się tzw. Dni Filmu Studyjnego, do 418 punktów odczytowych docierają prelegenci i filmy, filmy, filmy. Poczynania te, jak się okazuje, mają nie tylko wartość lokalną. Ważne jest, aby tego rodzaju akcje miały nie tylko dobry początek, ale by w sposób mądry i uparty zmierzały do przewidzianego punktu.

Uważny czytelnik prasy kulturalnej pamięta zapewne spory i polemiki dotyczące skansenu cerkiewek bieszczadzkich. Skanseny nie są rozwiązaniem najlepszym, ale często jedynym, ratującym bezcenne zabytki kultury ludowej od zagłady. Co jednak zrobić, aby skanseny były miejscami żywymi, a nie cmentarzyskiem folklorystycznym? Te problemy porusza **Cecylia Błońska** na przykładzie muzeum etnograficznego w Sanoku, gdzie już przemieszczono sporo cennych obiektów, a w najbliższych latach znajdą się tam dalsze. Że nie kończy się sprawa na zgromadzeniu obiektów, to pewne. Toteż trzeba się zgodzić z uwagami autorki artykułu *„Za rzekę w krainę starej baśni"* z rzeszowskiego „WIDNOKRĘGU":

Czy „Stara baśń" za rzeką, w cieniu drzew, będzie czytelna? Czy z takim nakładem starań i — wielkich funduszy — przeniesione stare budynki zdolne będą zainteresować zwiedzających? Mam tu na myśli nie tyle turystów podążających tędy w Bieszczady... Myślę raczej o czytelnej lekcji, jaką sanocki skansen stanowić ma dla zorganizowanych wycieczek, dla młodzieży przede wszystkim, na temat dawnej wsi, całokształtu jej życia, stosunków społecznych i ekonomicznych, obyczajów, kultury, różnic jakie ją dzieliły".

T. K.

KRYSTYNA KOSSOWSKA

Spowiedź

Przyjacielu,
spójrz na to groźnie huczące morze,
na lot rybitew w powietrzu,
poczuj pocałunek rosy w bose stopy,
doznaj pieszczoty wiatru wesoło bawiącego się twoimi włosami,
ciesz oczy pięknym widokiem bezkresu morza,
nagie ręce zanurz w puch kwietny,
pozwól pszczole siąść na spragnionyh słodyczy ustach
i pozostawić smak pocałunku koniczyny białej;

ciesz się wszystkim i przystąp do spowiedzi,
nie, nie do mnie przyjacielu!

Spowiadaj się drzewom, morzu, piachom, słońcu,
lazurowemu niebu... ale tylko nie mnie,
bo ja nie wiem, czy jako człowiek potrafię przebaczać.
Krzycz, nikogo ze śmiertelników nie ma. Jesteś ty
i przyroda — najwspanialsze audytorium
[jakie można sobie wyobrazić.

Dlaczego milczysz? Mów!
Wszystko słucha prócz mnie, bo ja...??

Nareszcie przemówił, a właściwie ryknął:
„Kocham! Naprawdę kocham! Więcej nie pamiętam!"
i całym ciężarem ciała runął na ziemię.

Leżał tak przez chwilę.

Morze szumiało jak dawniej,
tylko słońce ogarnęło go całego
i wysyłało promienie na twarz spragnioną pieszczoty
[i przebaczenia.

Gdy się podniósł
usłyszał cichą muzykę koników polnych,
śpiew słowika,
który zwykle czarował swym głosem w maju,
lecz dla człowieka w pełni szczęśliwego
śpiewał w złotej jesieni.
przy akompaniamencie spadających liści z dojrzałych drzew.

Lublin

Artykuł dyskusyjny

Trochę trosk wiele nadziei

MARIA BĘCHCZYC-RUDNICKA

TRUDNO byłoby sobie wyobrazić akcent bardziej adekwatny znaczeniu obchodów milenijnych niż Kongres Kultury Polskiej w końcowej ich fazie, kongres-spotkanie licznych twórców z reprezentacją działaczy, którzy udostępniając dobra kultury całemu narodowi tworzą z kolei nowe fakty socjalno-kulturowe, a w konsekwencji nowe warstwy cywilizacyjne. Niewątpliwie dokona się na tym monumentalnym zgromadzeniu rekapitulacji wiadomości o największych osiągnięciach polskiego Tysiąclecia, zwłaszcza heroicznego fragmentu dziejów, któremu my dziś nadajemy kształt. Na pewno jest to potrzebne jako należne uzasadnienie dumy narodowej i jako potężny bodziec do twórczego działania na przyszłość. Ale nie tylko to jest potrzebne.

Otóż nie ulega wątpliwości, że siły kreacyjne narodu tym więcej wydadzą dzieł przysparzających mu uznania w następnym tysiącleciu, im mniej będą narażone na dewiacje. Toteż zdajemy sobie sprawę, że październikowy kongres warszawski nie może być czymś w rodzaju superakademii, lecz powinien przynieść bogaty plon wniosków konstruktywnych. Komunikat prasowy PAP orientuje nas, że tak właśnie Kongres Kultury Polskiej został pomyślany. Drugi jego dzień będzie poświęcony obradom w komisjach, które zajmą się następującymi problemami: polska kultura w świecie, działalność kulturalna na wsi i w środowisku przemysłowo - robotniczym, społeczny ruch kulturalny, główne ośrodki upowszechnienia kultury, rola książki, planowanie w kulturze. A w skład komisji wejdą najwybitniejsi specjaliści i działacze kulturalni.

Już od dłuższego czasu daje się zaobserwować w wielu środowiskach nasilenie przejęcia się różnymi sprawami w aurze przedkongresowej. Stąd wypowiedzi, ustne czy drukowane, w których odbija się troska o dalszy, jak najbardziej dynamiczny, rozwój naszej kultury, chęć usunięcia wszystkiego, co mogłoby go w jakimś stopniu hamować. Osobiście, poczuwając się do jednej multimilionowej cząstki odpowiedzialności za pewne sprawy kulturalne i pokładając duże nadzieje w uchwałach Kongresu, chcę tutaj zaryzykować kilka uwag opartych na obserwacjach z mego pola widzenia.

Użyłam słowa „zaryzykować" mając w żywej pamięci niedawne nieporozumienie polemiczne z terenu stołecznego, które warto przytoczyć.

W tegorocznym numerze lipcowym zamieścił „Dialog" dla swych wyrobionych czytelników, śledzących pilnie życie teatralne, bardzo szczery, bardzo rzeczowy, referat Konstantego Puzyny z wrocławskiej Sesji Teatrologicznej. Referat ów, pod prowokacyjnym tytułem „O wyjałowieniu teatru" (czytaj: ostatnich paru lat), zawierał sporo stwierdzeń gorzkich, tu i ówdzie dyskusyjnych, lecz, sądzę, nie wymagających „załatwienia go odmownie" za pomocą gołosłownych z braku miejsca kontrtwierdzeń na użytek wielotysięcznej rzeszy czytelników „Trybuny Ludu". Znany i ceniony krytyk J. A. Szczepański sądził inaczej pisząc swoją replikę „Przesada chybia celu" („T. L." 7.IX). Tymczasem na bliskim już Kongresie Kultury Polskiej czyż nie będą potrzebne wypowiedzi oceniające bez euforii naszą pozycję wyjściową do drugiego tysiąclecia?

Nie zamierzam bynajmniej streszczać artykułu-referatu Puzyny, dostępnego dla ludzi teatru i jego wytrawnych miłośników na łamach „Dialogu", przytoczyłam casus Puzyna — Jaszcz jedynie jako przykład niewczesnej próby zamiany krytyki odważnej w balonik na uwięzi.

Z tego, co dotąd powiedziałam, już poniekąd postulatywnie, nietrudno zgadnąć, iż w dalszym ciągu postulaty moje będą związane z jakimiś niepożądanymi zjawiskami w życiu teatralnym. Dodam — bodaj artystycznym w ogóle. Aby ktoś przecie nie posądził mnie o tzw. czarnowidztwo, oświadczam z miejsca, że widzę z całą jasnością imponujące osiągnięcia, artystyczne i organizacyjne, naszego 22-lecia w dziedzinie literatury, teatru, muzyki, plastyki. A więc — koncentrując uwagę na życiu teatralnym — znaczny wzrost liczby stałych zawodowych teatrów dramatycznych, nieustające mnożenie się scen eksperymentalnych, m. in. dobrych teatrzyków studenckich, dotarcie sztuki teatralnej do szerszych kręgów społeczeństwa, realizację niemałej w ostatnich latach liczby wartościowych polskich sztuk współczesnych, żywy kontakt z dramaturgią światową, odzwierciedlającą powojenną strukturę umysłową społeczeństw, dalej — podniesienie poziomu scenografii, ustawienie prób na płaszczyźnie dyskusyjnej, pomoc reżyserską teatru zawodowego zespołom amatorskim, uznanie konieczności planowania repertuarowego...

W tym miejscu, niestety, chwalca musi powiedzieć sobie — stop! Bo owa zasada planowania repertuaru, jakże niezbędna szczególnie w demokracjach ludowych, pozostaje na razie w sferze deklaracji, zamieniając się de facto z reguły w wyjątek.

Naturalnie każdy zawodowy teatr w Polsce zgłasza dziś czynnikom nadrzędnym, a nawet prezentuje publiczności, to, co uważa za planowe propozycje na najbliższy sezon. W istocie plan sprowadza się nierzadko do raczej przypadkowego, niezbyt skoordynowanego zestawu lepszych lub gorszych sztuk, częściowo później „w biegu" wymienianych.

Ten fakt, niewątpliwie nurtujący sumienie kierownictw teatralnych, skoro już zastąpiono wysłużony termin „profil" mniej obowiązującym słowem „model" — ten oto, mówię, dość rozpowszechniony fakt z praktyki teatralnej wymaga wszechstronnego rozważenia jego przyczyn. A jest ich kilka tak niebłahych, jak niepokojący odpływ publiczności spowodowany rozwojem telewizji, jak znaczne podwyższenie teatrom wojewódzkim planowej liczby spektakli objazdowych, jak niedobory w wykwalifikowanych kadrach aktorskich (wpływające z kolei ujemnie na frekwencję), jak wreszcie konieczność wykonania planu finansowego (co znowuż skłania do kompromisów mających na celu zwabienie publiki).

Powstaje więc w danej koniukturze łańcuch zależności: plan finansowy — frekwencja — repertuar. Elementem kluczowym w tym szeregu jest oczywiście plan finansowy. Wydaje się tedy konieczne zbadanie na najwyższych szczeblach międzyresortowych, jakimi sposobami dałoby się zmniejszyć ten nacisk planu finansowego na kierownictwa wielu teatrów polskich.

Drugim problemem do przeanalizowania w skali ogólnopolskiej byłaby możliwość zwiększenia liczby specjalnych teatrów objazdowych, w które powinny być wyposażone chyba wszystkie województwa.

Dotychczasowa praktyka dobrze mi znanego Teatru im. J. Osterwy w Lublinie wykazała, że przy obecnie zaplanowanych 190 przedstawieniach objazdowych rocznie (w 30 miejscowościach) i przy obecnych rygorach planu finansowego — układanie rozsądnie kompromisowego repertuaru jest nie lada ekwilibrystyką. Po większej części bywa więc tak, że wyrobione koła samego Lublina czują się niejako „sfrustrowane", podczas gdy widzowie z głębszego terenu również nie są należycie obsłużeni. Zwyczajnie teatr nie dając sobie rady ze zbyt złożonym zadaniem wysyła w teren np. granych akurat w siedzibie „Wygnańców" Joyce'a, z których dociera do większości widzów zaledwie warstwa powierzchniowa. Jeśli przypadkiem „dramat w małżeństwie" wypełnił salę domu kultury, powstaje niechybnie demagogiczny mit o „wrażliwości" nieprzygotowanego widza. I robi się dalej repertuar „do wszystkiego" — niby dla honoru domu, a cokolwiek na „upowszechnianie".

Zaiste demagogia to wróg nr 1 upowszechnienia kultury, jedno z tych ujemnych zjawisk naszego życia artystycznego, o których wspomniałam na wstępie. Zjawisko to, wynikłe w teatrze z trudności planowania, czyli z przymusowej sytuacji, daje się ostatnio zaobserwować także w środowisku plastycznym, wypaczając niekiedy znakomite skądinąd inicjatywy. Przykład — wystawa zorganizowana niedawno w wielkim zakładzie pracy w związku z ogólnopolskim Sympozjum Artystów Plastyków i Naukowców. Na skutek jednostronnych sugestii nie tylko ograniczono ekspozycję rzeczonej wystawy dla robotników — prawie wyłącznie do tzw. dzieł awangardowych, ale znalazły się tam m. in. eksponaty, które będąc jedynie **protestacyjną manifestacją antyestetyczną** (powiedzmy nawiasem — mocno spóźnioną i przeto pod względem twórczym niefunkcjonalną) z pewnością nie nadają się do celów **wychowania** estetycznego. Nie dość tego: najkrzykliwszy z takich protestów uzyskał ważką nagrodę, jak również m. in. eksponat, którego autor zastępuje inicjatywę twórczą artysty czymś w rodzaju totolotka. Pokazano nadto pomalowaną białą farbą deskę pt. „Miejsce do leżenia" oraz czarny kwadracik z napisem „Miejsce do stania".

Mili panowie i miłe panie, z czym do danego adresata? My, starzy wyjadacze z różnych kotłów i kociołków artystycznych, znamy takie figle od początku stulecia, ale zechciejcie sobie uprzytomnić, jakie myśli mogą się kłębić w głowie rzetelnego człowieka pracy fizycznej na widok tego, co zostało pochopnie nagrodzone lub choćby oferowane mu do podziwiania.

A więc jeszcze jednym ujemnym zjawiskiem — idącym w parze z demagogią — stał się na obecnym etapie życia artystycznego snobizm zrodzony, pod presją pseudoawangardyzmu, z obawy przed posądzeniem o „nienadążanie". Rezultat — sporo dosadnych wypowiedzi (oczywiście nie czarno na białym w księdze pamiątkowej), m. in. dwuznaczna sprobata obrazu świetnego malarza kolorysty Zenona Kononowicza: „O, tu przynajmniej można coś zrozumieć!" A przecie było na wystawie Sympozjonu niemało naprawdę wartościowych dzieł abstrakcyjnych bądź aluzyjnych. **Pokazane robotnikom w szerszym, nie ekskluzywnym kontekście na pewno zrobiłyby doskonałą robotę.**

Analogiczny snobizm — wracając do „naszych baranów" (cytat z „Patelina"!) — przejawia się również w repertuarze teatralnym, z chwilą gdy teatr boi się grać sztuki o sprawdzonym powodzeniu, bo chce jak najczęściej mieć prapremierę lub wręcz „odkrycie" (okazujące się nie w jednym wypadku „chałą").

Ze snobizm najzupełniej nietwórczy udziela się w nie mniejszym stopniu młodzieży literackiej — całej rzeszy wersyfikusów (słówko zdaje się Międzyrzeckiego), jest to rzeczą szeroko znaną. W Lublinie (bo i przy uogólnieniach mam ciągle na oku Lublin) ulegają tej sile rozpędowej także jednostki z założonego przez Oddział ZLP Klubu Literackiego, do których wieku można by zastosować Dantowe określenie — „Nel mezzo del cammin di nostra vita"... Wybrzydzają się one na „Tuwimów", dla tych kolegów-klubistów najwybitniejsi poeci polscy naszego stulecia, do Różewicza włącznie, są — ot „pasywistami".

A teraz proszę popatrzeć, cóż za sprzeczności wyłaniają się z wymienionych cech psychiczno-socjalnych. Filharmonia (znów dla przykładu konkretna Filharmonia im. H. Wieniawskiego w Lublinie), urządzająca dziesiątki dobrych — niekiedy świetnych koncertów z zakresu poważnej muzyki klasycznej i trudnej muzyki nowoczesnej, co właśnie przystoi placówce tej rangi, filharmonia wojewódzka prowadząca ofiarnie i wydatnie opartą na małych ekipach wielką akcję umuzykalniającą w postaci audycji szkolnych — zaczyna raptem, pod naciskiem planu finansowego, mnożyć tzw. koncerty „rozrywkowe", o poziomie poniżej koncertów popularnych (bardzo potrzebnych), wmawiając w nas, znów demagogicznie, że słuchacz, który przychodzi na Michotka, przyjdzie ochoczo na Pendereckiego czy Bairda.

A Teatr Osterwy (przepraszam za tę obsesję teatralną), mój teatr, z którym jestem zżyta od lat 22 czy to jako recenzentka, czy jako kierownik literacki, ten teatr wojewódzki nie ma już dostatecznych

(Dokończenie na str. 11)

(Dokończenie ze str. 1)

wistości stosunków społecznych oddziałuje polityka na artystyczną świadomość.

Weźmy pod uwagę najbliższy nam lubelski przykład. Jeżeli w Puławach, miejscowości do niedawna znanej jedynie ze wzmożonej podaży truskawek, powstaje obiekt przemysłowy o wymiarach europejskich, jest to fakt siłą swego znaczenia dopominający się o stanowisko ze strony artysty, popularyzatora, działacza kulturalnego, nie wymagając już podpórki „nastawień" ani „wytycznych", słabszych przecież argumentacją od wymowy samej rzeczywistości. I Puławski Plener był tylko zewnętrznym objawem tej wzajemnej implikacji między artystyczną świadomością a rzeczywistością życia społecznego, jaka odbywa się w sposób naturalny i niemal spontaniczny. Jeżeli sztuka chce pozostać przy swej roli zwierciadła czasu, zwierciadła epoki, musi sama zdobyć się na środki wyrazu w stosunku do swej rzeczywistości adekwatne. Ta prawda stała się zasadniczym czynnikiem koincydencji artystycznego działania i politycznych założeń.

Co nie oznacza zresztą żadnego osłabienia uwagi dla ideowej funkcji twórczości. Niemożliwe jest to w warunkach państwa socjalistycznego, w którym element planu, element programu gra rolę zasadniczą. Ale polityka jako pochodna ideologii nie jest niczym innym, niż szeregiem aktów najkorzystniejszych dla danego społeczeństwa w danym miejscu i czasie i jeśli jakaś wątpliwość może zachodzić odnośnie trafności niniejszego określenia w ogóle, to nie wtedy, kiedy dotyczy ono polityki socjalistycznej. Czyli że można mówić o pomyłce w konkretnej realizacji, nie można — o błędzie w założeniu tam, gdzie rzecz dotyczy troski o maksymalne wartości etyczne, wychowawcze, poznawcze współtworzącej rzeczywistość sztuki. Prawdziwy artysta nie może znajdować się w izolacji od tych trzech słówek i nawet nie dopingowany żadnymi poduszczeniami musi znaleźć do nich drogę. Powiedzmy więc sobie na ucho, że w istniejących objawach zastrzeżenia wobec wysuwanych tego rodzaju postulatów tkwi niejednokrotnie element najzwyklejszej przekory.

Takoż nie ma niebezpieczeństwa utraty wzroku od oślepiających świetlistości Zachodu. Owszem, młódź przejęła dżinsy i big-beat, ale nie widać, by starszych kusiło w stronę Kierkegaarda i Heideggera. Natomiast śladem lekkiej atletyki sztuka polska coraz skuteczniej wkracza na zachodnioeuropejski rynek stawiając tam towar wcale kurantowy. Na całym świecie mówi się o teatrze Mrożka, wystawy księgarskie zdobywają książki Iwaszkiewicza, Putramenta, Rudnickiego, polski plakat, polski krótki film, polska muzyka wracają z zagranicznych wojaży nierzadko z palmą i tarczą. Po nawiązaniu artystycznych stosunków Wschód — Zachód okazało się, że nie jesteśmy nadmiernie zamorusanym kopciuszkiem, w niezrozumialstwie eksperymentatorstwa dystansując niekiedy takich tuzów, jak Robe-Grillet, Butor i Natalie Sarrault. I „Przekrojowy" Macedoński czeka na swe odkrycie w Paryżu.

Żarty? Bo i doprawdy nie widać przerażającego dystansu między dokonaniami artystycznymi za Łabą i dalej, a tym, co czytelnik polski może otrzymać spod piór swoich rodaków. Oczywiście — rzecz osobistych dyspozycji odbiorczych, ale wielu spośród wnikliwie zainteresowanych literaturą u nas żywiej odbiera na przykład Brandysa z jego „Listami do pani Z.", aniżeli w tym samym typie refleksyjnego i analitycznego Camusa z „Obcym". I chyba nie sam to wynik różnicy kręgów kulturowych, często przesądzających drażność pewnych treści w świadomości odbiorczej. A jeśli — to tę okoliczność da się zapisać również i po naszej stronie.

Ale twórczość artystyczna stanowiąc zasadnicze źródło dopływu nowych wartości nie jest jedynym formantem naszego życia kulturalnego. Termin „kultura masowa", tak popularny obecnie na Zachodzie, również u nas jest ogniskową przemyśleń i działań. W innym jednak potraktowaniu. Nie chodzi nam o maksymalnie szeroki zasięg treści produkowanych dla celów komercjalnych i przez to preparowanych na użytek tak szerokiego, niekontrolowanego odbioru, ale o możliwie największą przyswajalność dzieł wartościowych, spełniających rzeczywiście poważną rolę kulturotwórczą, co naturalnie nie wyklucza popularności i rozrywki. Wskazania więc w tym względzie nie idą w stronę bieżącej produkcji artystycznej, czy wyboru z dorobku posiadanego, ale działań upowszechnieniowych mających jak najkorzystniej skutkować na rzecz odpowiednio szerokiej dystrybucji. Tam więc najewidentniejszym elementem kultury masowej są comicsy, u nas — TV. Wprawdzie przestaliśmy się już odurzać magią prawie dwóch i pół miliona telewizorów mających rzekomo samoczynnie przeprowadzić rewolucję kulturalną w Polsce, ale szeroko rozbudowana sieć urządzeń i środków przekazu jest nadal przedmiotem uwagi.

Ofensywie zaczętej przez telewizję skutecznie sekunduje akcja zakładania klubów Ruchu. Bo odczuwać zapotrzebowanie na przeczytanie gazety, wysłuchanie odczytu, a nawet towarzyską pogwarkę przy kawie to też czynnik kulturotwórczy. Nierzadko do tych klubów przyjeżdżają Brandysi, Żukrowscy i Kawalcowie, zapraszani tam przez publiczność, która — przeprowadźcie sondaż — znacznie więcej orientuje się w przejawach życia artystycznego, społecznego i politycznego, niż świadczyłaby o tym nasza orientacja datująca się sprzed paru lat. Cóż, możemy psioczyć na dżinsy, jako przykład snobistycznego naśladownictwa, ale prawem jakiejś równoległości nie może ubierać się w nie czytelniczy gust oparty wyłącznie na Orzeszkowej, Kraszewskim i Weyssenhoffie.

Jednakże najistotniejszym chyba rezultatem zamierzeń w tym względzie jest zarysowane już wyraźnie zjawisko, które by analogicznie do terminologii używanej w przemyśle można nazwać „deglomeracją kulturalną". Umożliwienie i wsparcie inicjatyw terenowych. Rodzi się z tego poważny ruch regionalistyczny, różny już dziś od swej dziewiętnastowiecznej postaci, nie hodujący partykularyzmu i parafiańszczyzny, przed czym słusznie przestrzegali socjolodzy i etnografowie niesłusznie z kolei negując samą zasadę ambicji lokalnych. W ambicji tej już nie mieści się anachroniczny rezerwat niedorozwoju kulturalnego, ani rozmodlenie przed świątkiem, który zresztą powędrował do muzeum, ale chęć czynnego współudziału w tworzeniu wartości kulturalnych na prawach partnera jeśli nie równorzędnego w stosunku do intensywnych centrów życia artystycznego, to przynajmniej nie deprecjonowanego przez położenie geograficzne. Unia naszych czterech województw — co by się zastrzegającego nie powiedziało o pomyślności jej realizacji — jest wymownym przykładem awansu prowincji osiągniętego w ciągu ostatnich paru lat.

I działacz kulturalny przestał być nie dostrzeganym przez oficjalną opinię, zagubionym anonimem. Nie chodzi o samą odznakę przyznawaną w Dniach Oświaty, Książki i Prasy. Chodzi o rangę nadaną jego pracy, o społeczne pokwitowanie zasług. Z pozycji „siłaczki", która umiera na suchoty, przechodzi na pozycję Przełęckiego upodabniając się do bohatera „Przepióreczki" rozpiętością działań, co niekoniecznie pociągnąć za sobą musi konflikt natury moralno-erotycznej. Ten sztab ludzi osiadłych w swych środowiskach od lat, ale i od lat czerpiących inspirację do twórczego niepokoju ze swojego zainteresowania szerokim światem, słusznie znajdzie swą tak liczną reprezentację na Kongresie, który będzie poświęcony sprawom kultury polskiej.

Compedium spraw, które wniesione zostaną na obrady w sali Teatru Wielkiego w dniu 7 października 1966 roku, jest obszerne i uczestnikom Kongresu zapowiadają się pracowite, pełne napięcia dni. Nie w innej atmosferze rodzi się to, co jest nowe. I jakkolwiek rozwój sztuki, literatury, muzyki i teatru, powstawanie dzieł i wzrost poziomu oświaty nie rodzi się przy mównicy, przecież Kongres będzie startem w czas, którego metrykę pisze okrągle tysiąc lat narodowej kultury polskiej.

Zygmunt Mikulski

Kartka na 7 października

PROWINCJA I STRACHY

ZDZISŁAW JASTRZĘBSKI

DOSYĆ głośna była ostatnio „afera" panów na stanowiskach, którzy bardzo się zirytowali, że zaproszono ich na uroczystość we wsi rodzinnej. Jak śmiano ujawniać i przypominać im chłopskie pochodzenie? To tak jakby im wypominano! Młoda kobieta, która pojechała szukać pracy w mieście, po pewnym czasie odwiedziła swą osadę i z dumą opowiadała, że pracuje w banku (jak się potem okazało — w charakterze sprzątaczki). Oto dwa obrazki, które składają się na złożone zjawisko.

Demografia i socjologia notują fakty gwałtownego odpływu ludności wiejskiej do miasta. Architekci przewidują, że zmierzamy do wielkich osiedli mieszkaniowych, z których będzie się dojeżdżać do pracy i na roli i w zakładach przemysłowych. Do miasta ciągną większe możliwości korzystania z postępu technicznego, łatwość życia wielkomiejskiego, szersza skala i większa atrakcyjność zawodów, znacznie bujniejsze życie kulturalne... Stoimy wobec tendencji tworzenia i preferowania dużych skupisk ludzkich. Czy ów proces urbanizacji (wynikający z industrializacji, ale nie dający się przecież tylko w niej zamknąć) jest czymś ujemnym czy pozytywnym? Ocena nie jest prosta i tu mało istotna. Warto chyba jednak uświadomić sobie, że podczas gdy z jednej strony my jesteśmy raczej zafascynowani mirażami urbanizacji (wbrew niedogodnościom, jakie są konsekwencją dużych skupisk), z drugiej niektóre zwłaszcza kraje mają z nią sporo kłopotów, pojawiają się głosy niemal demonizujące to zjawisko (hałas, pył, pośpiech i nerwowe życie, zagubienie człowieka w tłumie, tłok pojazdów itd.).

Jest jednak inny aspekt związany z tym zjawiskiem, nad którym należałoby się zastanowić i którego ocena jest chyba prostsza. To nieporozumienia, uprzedzenia, a nawet wręcz obsesje na temat tzw. prowincjonalizmu. Zapadła prowincja, grajdołek, dziura zabita deskami, ktoś z prowincji, ze wsi (w ujęciu potocznym), Polska powiatowa (w ujęciu publicystycznym), teren (w ujęciu administracyjnym) — to zwroty, mające wyraźny odcień pejoratywny, odstraszający. Dla wielu ludzi samo przeniesienie się ze wsi do miasta, z miasta do wielkiego miasta oznacza automatycznie awans społeczny. Istnieje bowiem — w różnej postaci się przejawiający i obustronny — zakorzeniony pogląd, że teren to coś gorszego. Funkcja dozorcy czy sprzątaczki — to można wytrzymać, ale funkcja gospodyni czy dojarza? Działacz powiatowy? Nieszkodliwy maniak. Fachowiec w miasteczku uważa, że jest przez los (lub kolegów mających chody) pokrzywdzony, o nim zaś się mówi (z politowaniem), że się marnuje.

Sama industrializacja nie wyjaśnia przyczyn ucieczki ze wsi, stagnacji miasteczek, a już zupełnie nie tłumaczy i nie usprawiedliwia wstydzenia się swego pochodzenia. Że tak jest, że nie jest to tylko nieszkodliwa słabostka przypominają nam wypadki opuszczenia, a czasem nawet nędzy staruszków, których dzieci zdobyły jakąś tam pozycję w wielkim mieście. To niedostrzegane lub bagatelizowane zjawisko nie jest tylko obyczajową i pozorną kategorią. Powiat nie tylko cierpi na nadmiar rąk, ale równocześnie odczuwa braki kadr fachowych (lekarzy, ekonomistów, inżynierów, techników). Bodźce ekonomiczne są i im można zawdzięczać, że jakaś cząstka tych fachowców osiada na prowincji. Ale w gruncie rzeczy fachowcy, ludzie z wyższym lub nawet średnim wykształceniem, bronią się przed obejmowaniem stanowisk w Kłajach. Rolnik zaś zamiast unowocześniać swój warsztat, często ucieka, choć sytuacji materialnej sobie nie polepszy.

Czy straszy widmo prowincjonalizmu, czy działa magia sytego burżuja? Czy są rzeczywiste podstawy tego stanu? Wydaje się, że są to kategorie (myślenia) aktualne przed kilkudziesięciu laty. Trwają chyba siła inercji i nienadążania zmiany pojęć i postaw za rozwojem ekonomicznym i społecznym. Wywodzą się zaś z czasów, gdy chłop w strukturze społecznej stanowił upośledzoną, najniższą warstwę i gdy równocześnie szlachta, jak wykazywał to Chałasiński, „klasa lepsza" przekształcała się w inteligencję. Na tę strukturę i ten proces nałożyła się ekspansywność burżuazji w kapitalizmie. Duże miasta znacznie wcześniej miały możność korzystania z udogodnień cywilizacji technicznej i dóbr kulturalnych. Warunki geograficzno-demograficzne niejako w sposób naturalny dyskryminowały prowincję: rozproszenie, zaniedbania w rozwoju gospodarczym i umysłowym, rewien tradycjonalizm składały się na to, że wszelkie osiągnięcia docierały tu ze znacznym opóźnieniem, że nie opłacało się elektryfikować, zakładać wodociągów, urządzać imprez, stwarzać lepszych warunków komunikacyjnych, korzystać z postępu technicznego (praca rąk była tańsza od maszyny); nie myślano o inwestowaniu i ulepszaniu hodowli i uprawy, zdając się na rytm natury. Problem ten trzeba by głębiej zanalizować — choćby dla potrzeb polityki społecznej i kulturalnej, dla skutecznego zaktywizowania różnych rezerw, jakie tkwią jeszcze w Polsce powiatowej.

Obecnie, gdy rozwój sieci komunikacyjnej, szybkich środków informacji, elektryfikacja, demokratyzacja stosunków sprawiły, że izolacja głębokiego terenu przestała być problemem, posługiwanie się schematycznym podziałem i kryterium Polski powiatowej i jakiejś centralnej jest czymś anachronicznym. A kryteria te zdają się funkcjonować zwłaszcza w dziedzinie kultury, gdzie głównie dzięki środkom masowego przekazu (radio, telewizja, kino), szerokiej sieci bibliotek, kiosków „Ruchu", instytucji kulturalnych — są one chyba najmniej aktualne. Nie ma zasadniczych różnic w dostępności, w możliwości korzystania z dóbr kulturalnych. Inna sprawa, czy i jak szanse są wykorzystywane, czy i jakie są różnice w przygotowaniu do uczestniczenia w życiu kulturalnym, jakie są środki podnoszenia kultury percepcji. To problemy do osobnego rozważenia.

Jeśli nawet przyjmiemy, że różnice są istotne, że prowincja jest rzeczywiście opóźniona, straszy nudą życia kulturalnego, to ocena taka nie przemawia za uciekaniem czy lekceważeniem, tylko za wejściem w teren: jest pole do działania, jest — faktyczne lub potencjalne — zapotrzebowanie. Trudno bowiem przyjąć, by jakieś środowisko świadomie chciało rezygnować z rozwoju, z tych wszystkich szans, jakie współczesność daje zarówno w płaszczyźnie ekonomicznej jak kulturowej. Jeśli Polska powiatowa jest czymś gorszym (tak w stanie rozwoju jak i hierarchii wartościowania), to warto by się zastanowić, czy i w jakiej mierze odpowiedzialna jest za to Polska niepowiatowa (antonimicznego pojęcia Polski powiatowej nie ma, co także dowodzi przerysowania owych różnic).

Wobec kompleksów prowincjonalizmu, wypierania się „niskiego" pochodzenia, wobec wartościowania ludzi według pozycji czy miejsca zamieszkania — argumentacja jest niemal bezradna. Można się tylko nad tymi i podobnymi zjawiskami reliktowymi uśmiechać, można je demaskować. A wbrew pozorom są one jeszcze zakorzenione i powodują wiele nieporozumień i szkodliwych — zwłaszcza w stosunkach społecznych i kulturalnych — konsekwencji. Posługiwanie się, bezwiedne nieraz, kryteriami biologicznymi czy geograficznymi, nie zaś społecznymi, ujmowanie drabiny społecznej według miary uprzywilejowania i degradacji, wyższości i niższości, a nie w aspekcie funkcji w jednej całości, jest sprzeczne, wydaje się, nie tylko z socjalistycznymi zasadami, lecz również z najogólniej pojętą postawą humanistyczną. Kultura stosunków międzyludzkich, sposoby myślenia i obyczaje nie nadążyły, nie zdołały ugruntować się równolegle z rewolucją ekonomiczną, z postępem społecznym na płaszczyźnie prawnej. Trudno się dziwić, że w tej sytuacji istniały i istnieją zmierzające w niewłaściwym kierunku, ambicje osiągania awansu społecznego. Ambicje takie są niewątpliwie czynnikiem pozytywnym, ale w aspekcie zdobywania wyższych kwalifikacji i ważniejszej funkcji, w podnoszeniu rangi pełnionej funkcji, a nie uprzywilejowania i nie drogą wyemigrowania z Polski powiatowej.

Są to sprawy, które winny być również objęte troską wychowawczą, troską obejmującą nie tylko „zapadłą prowincję". Jeśli nie zostaną przełamane, zawsze będziemy natykać się na tę czy inną postać dyskryminacji, która jest jednym z elementów hamujących normalny rozwój i społeczny i kulturalny.

Skoro jesteśmy przy dyskryminacji, zwróćmy uwagę na jeszcze jedno zagadnienie. Centralistyczny system administrowania, jakkolwiek w pewnych warunkach jedynie umożliwiający szybką i skuteczną realizację zadań, na dłuższą metę może prowadzić także do objawów dyskryminacji niższych szczebli administracji. Przez nieufność do oddolnych inicjatyw, różne formy podporządkowania — siłą rzeczy zahamowuje tempo rozwoju. Szczególnie odbija się to w dziedzinie kultury, gdzie cyfrowe wskaźniki rozwoju bywają często mylące i pozorne. I wydaje się, że w utrzymywaniu się zjawiska czy pojęcia Polski powiatowej pewną rolę odegrały też pokusy rozwiązania wszystkich problemów kultury drogą odgórnych wytycznych oraz nie zawsze właściwie wyważone proporcje między rolą i zadaniami czynnika administracyjnego i społecznego, zawodowego i amatorskiego.

Należałoby tu jeszcze mieć w polu widzenia problem wzajemnego oddziaływania dorobku kulturalnego prowincjonalnego i centralnego. Chodzi głównie o to, że zapatrzenie się we wzorce miejskie było jedną z przyczyn kostnienia ludowych i regionalnych form kultury. Nawiązywanie np. do ludowej tradycji stroju, żeby nie było śmieszne, dopuszczalne było w formie „wystawy" i reprezentacji, np. zespół „Mazowsze", ale wywoływało zakłopotanie w życiu codziennym. Tańczenie mazurka na zabawie wiejskiej mogło być dla obserwatora elementem egzotyki, dla tuziemców obawą przed zacofaniem. Fachowe środowiska artystyczne zaś w nawiązywaniu do tradycji ludowych w gruncie rzeczy nie wyszły poza stylizację. Polka nie doczekała się takiego twórczego rozwinięcia jak folklor murzyński w formie jazzu, który tak niedawno jeszcze był wyrazem nowoczesności w muzyce. Strach przed prowincjonalizmem zdaje się i w tej dziedzinie hamować rozwój kultury, rozsądne i normalne rozwiązywanie zagadnienia prowincji, utrudnić żywy kontakt. Krótko rzecz ujmując, jakieko'wiek byłyby oceny i rozwiązania, zagadnienie istnieje i wymaga zrewidowania stosunku do niego.

KLUCZE DO ZAMKU

RYSZARD PODLEWSKI

WŁAŚCIWIE to nawet żenujące wymieniać datę rozpoczęcia prac konserwatorsko - budowlanych w zamku szydłowieckim. Wystarczy chyba powiedzieć, że było to bardzo dawno temu i że dopiero teraz można mówić o radosnym finiszu, choć i tutaj trzeba zastrzec od razu, że zakończenie prac budowlanych to dopiero początek wielkiej roboty z kompletnym wyposażeniem i uruchomieniem tego największego kombinatu kulturalnego w zabytkowych murach, pochodzących w najstarszych fragmentach z XIV wieku!

Zamek szydłowiecki uratowany został znacznym kosztem wysiłku i nakładów finansowych. Ale jest to obecnie obiekt, który można będzie pokazywać wszystkim turystom, jadącym trasą Warszawa — Kraków. Dotąd przeważnie omijają oni Szydłowiec, nie zdając sobie nawet sprawy z faktu, że kilkaset metrów od głównej szosy obejrzeć można szacowne zabytki starego renesansowego miasta. Szczycić się może to małe a stare miasteczko aż trzema budowlami: ratuszem, kościołem i zamkiem. Ale to trzeba dokładniej uprzytomnić nie tyko turystom, lecz także i tym, którzy wycieczki organizują i prowadzą.

Szydłowiecki rynek pięknie uporządkowano i wyasfaltowano — można już oglądać ratusz w estetycznej oprawie, kościół też można zwiedzać — bo to blisko. Ale do zamku, by nasycić oko potężną renesansową budowlą, która teraz w trakcie robót konserwatorskich odsłoniła jeszcze kilka miłych znawcom tajemnic i niespodzianek, trzeba zboczyć z trasy.

Trzy kondygnacje zamku przeznaczono już dla konkretnych użytkowników i trzeba przyznać, że zaplanowano to bardzo ciekawie i oryginalnie. Skrzydło stosunkowo najmłodsze, po remoncie, który niestety, budzi wiele zastrzeżeń, oddano Powiatowemu Domowi Kultury. Jest tu sporo pomieszczeń na sale zajęć cichych i głośnych, na kawiarnię i salę widowiskową oraz pokoje prób zespołów amatorskich. Remont tego skrzydła polegał właściwie na odbudowie i otynkowaniu wnętrz, ale doskonale ukrył zabytkowy charakter całości. Gdyby nie głębokie wnęki i drzwi, można by sądzić, że znajdujemy się w pierwszym lepszym typowym wnętrzu budownictwa prefabrykowanego. Pikanterii dodaje fakt, że nawet stropy zamkowej świetlicy kryją do dziś — mimo warstwy tynku — stare elementy sztukaterii czy polichromii. Ale żeby je wydobyć na światło dzienne — trzeba by wszystko na nowo odstukiwać i drapać.

Całe szczęście, że w ten sposób potraktowano tylko stosunkowo najnowsze wnętrze i obecnie bardzo pieczołowicie restauruje się drugie skrzydło, które będzie miało aż trzech gospodarzy. Parter zajmie Biblioteka Powiatowa i Miejska. Będzie to placówka godna zazdrości, na pewno najpiękniejsza w województwie. Ileż tłumaiu dodadzą jej stylowe wnętrza — jak na przykład sala o wspaniałych sklepieniach, opartych na filarach — gdzie znajdą miejsce czytelnia i biblioteka z dostępem do półek. Stare wnętrze i nowoczesny komfort, bo zamek uzyskał centralne ogrzewanie i wodę oraz światło. Sale będą miały także walory zabytkowe, bo ściany z polichromią zakonserwowano i odnowiono.

Pierwsze piętro starszego skrzydła otrzyma muzeum, drugie zaś pracownia konserwatorska. Muzeum w Szydłowcu — mieście na wskroś renesansowym — to wielka zdobycz. Tutaj zgromadzi się w 2 dużych i 2 małych salach zabytki, obrazujące mecenat zasłużonej rodziny Szydłowieckich, których sumptem wyrosło to wszystko, co dziś wielce sobie cenimy. Znajdą się tutaj chyba i sprzęty, i malowidła, i inne eksponaty, ukazujące polskie Odrodzenie na Ziemi Kieleckiej. Historia splecie się w tym zamku z teraźniejszością, bo warto powiedzieć, że istnieje niezwykle wartościowy projekt urządzenia tutaj także czegoś w rodzaju galerii kieleckiej plastyki współczesnej, co wobec braku pomieszczeń w Kielcach daje szanse naszym dzisiejszym twórcom do wyjścia z magazynów różnych muzeów i wydziałów kultury do odbiorcy. Muzeum będzie chyba doskonałym magnesem dla wycieczek i indywidualnych turystów.

Na II piętrze pracownia konserwatorska mimo swego roboczego charakteru także będzie miała sale do zwiedzania, a to z racji stylowych odrestaurowanych wnętrz, umeblowanych zgodnie z duchem epoki. Pracownia ta już teraz chlubi się bardzo nowoczesnym wyposażeniem. Będzie tu i tak zwany stół dublażowy do odnawiania obrazów — cały z jednej wielkiej i gładkiej tafli marmuru, będzie specjalny aparat rentgenowski do prześwietlania dzieł sztuki, będą odpowiednie ciemnie fotograficzne i wyciągi do zdjęć przy świetle sodowym czy ultrafioletowym. Co bardzo cenne — udało się już sprowadzić do Szydłowca fachowca z prawdziwego zdarzenia — konserwatora z Torunia. Będzie on kierował pracami, o które upominają się zbiory wszystkich regionalnych muzeów Kielecczyzny — a jest ich przecież sporo, bo to i Radom, i Sandomierz, i Czarnolas, i Obiegorek. Nawet samo Muzeum Kieleckie, które ma swojego konserwatora, z pew-

(Dokończenie na str. 11)

ZDZISŁAW POPOWSKI

Pamięci poety

Nie widziałem „wspólnego pokoju",
i nad balią schylonej Rózi,
ale pamiętam, pamiętam te dni szalone,
oślepiających złudzeń.

Nie wystarczał „Alfabet oczu"
na Powiślu żałobnym jak rzeka,
gdy tętent nadchodzącej nocy
rwał na strzępy koronki wiersza.

Potem wojna. I jak uchronić
serce czulsze niż oddech kwiatu?
Jakie prawdy nieść przeciw zbrodniom,
jeśli słowo tylko — nie starcza?

Trzeba było więc iść z uporem,
wciąż wyrzekać się pojednania
i ukrywać pod czaszki schronem
wszystkie sny Jasia Kunefała.

◆

O, obłąkany lirycznie,
stojący „Pośrodku żywiołów",
wyprzedziłeś nas o godziny
i trwałość każdego słowa.

Któż by przypuszczał, że właśnie
lżejszą wybierzesz samotność,
Ty, który poznałeś czas swój
jak drogę do domu w Wielowsi.

Kto strzec ma Twych krajobrazów,
ocalać pola i ptaki,
skoro zdmuchnąłeś światła,
by więcej do nich nie wracać?

Dzień każdy jak łza się toczy
i pada na trumny wieko.
Już jesteś „Legendą dnia i nocy".
Na innych czekasz.

◆

Nie widziałem wspólnego pokoju
i nad balią schylonej Rózi,
ale pamiętam, pamiętam te dni szalone
oślepiających złudzeń.

Może już wtedy zapadł wyrok
tragiczny i niesprawiedliwy,
wizjami znacząc drogę
w najdalsze, najciichsze krainy.

Spotkanie w Chełmie

CHEŁM, po wojnie miasto kresowe, przygraniczne, zdawałoby się bez przyszłości, wcale nie wegetuje, ale rozwija się z każdym rokiem. Widać dbałość gospodarzy o jego wygląd, czystość i kulturę. Inicjatywa ludzi zrzeszonych w działającym tu od dobrych kilku lat Stowarzyszeniu Miłośników Ziemi Chełmskiej spotyka się ze zrozumieniem i poparciem miejscowych czynników partyjnych i administracyjnych. Świadczą o tym ukazujące się od czasu do czasu jednodniówki („Ziemia Chełmska" — ostatni numer, bodaj że już szósty, ukazał się we wrześniu), pięknie wydana przed dwoma laty antologia „Wiersze poetów chełmskich", działalność amatorska w różnych dziedzinach, wystawy, zjazdy itd.

Właśnie w dniach 10 i 11 września odbył się II Zjazd Twórców Ziemi Chełmskiej. Warto było na ten zjazd przyjechać, by się jeszcze raz przekonać, jak mocne są więzy łączące z Chełmem ludzi, którzy z niego wyszli, a dziś nieraz bardzo daleko od niego mieszkają, i jak mocno są do niego przywiązani ci, co w nim pozostali i dla niego pracują. Ale ludzie ci i sobie są bliscy i spotkania między nimi przy podobnej okazji bywają bardzo serdeczne. Doświadczył tego na sobie i piszący te słowa. Myślę, że powrót choćby na krótko do rodzinnego miasta jest jakby powrotem do własnej młodości. I może to również stanowi magnes ściągający niejednego uczestnika Zjazdu.

A II Zjazd był bardzo interesujący. Odbył się w pięknym Powiatowym Domu Kultury, położonym na granicy starego i nowego miasta i jakby już przez to samo sprzyjającym zbliżeniu dawnych chełmian z nowymi przybyszami pracującymi w Cementowni. Czy spełnia już tę rolę, trudno mi powiedzieć, ale jako placówka skupiająca wszechstronną działalność ruchu amatorskiego, posiadająca bogatą bibliotekę, czytelnię, piękną salę widowiskową z amfiteatralną widownią, sale wystawowe, kawiarnię itd. powinna przyciągać i z tej i z tamtej strony ludzi interesujących się kulturą.

W tym Domu więc uczestnicy Zjazdu mogli obejrzeć wystawę malarstwa abstrakcyjnego Kajetana Sosnowskiego, wychowanka tutejszego Seminarium Nauczycielskiego, dziś znanego plastyka (m. in. grafika miesięcznika „Poezja"), wciąż eksperymentującego w poszukiwaniu nowych dróg, który wygłosił interesującą i piękną pod względem formy prelekcję o nowoczesnym malarstwie, oraz obrazy byłego chełmianina Klemensa Redki, ofiarowane Muzeum Chełmskiemu przez wdowę po tym malarzu radzieckim. Tutaj licznie eksponowane w innej sali afisze i fotografie mówiły o pożytecznej i owocnej działalności Teatru Ziemi Chełmskiej. (Przykro, że we wrześniowej jednodniówce nie znalazło się ani słowa o poważnej stracie, jaką poniosła ta placówka: należałoby oczekiwać dłuższego wspomnienia o zmarłej przed paroma miesiącami wieloletniej niestrudzonej reżyserce tego amatorskiego, ale ambitnego teatru — Kazimierze Pierackiej). Gdzie indziej znów widnieją prace miejscowych fotografików. W sali bibliotecznej — ekspozycja druków chełmskich (prasa, książki), a w innej produkują się chełmscy recytatorzy i piosenkarze — słowa i muzyka miejscowych amatorów. Wyświetlono trzy krótkometrażowe filmy tutejszych adeptów dziesiątej muzy; dwa kolorowe z regionu chełmskiego i trzeci — najciekawszy, w ciemnej barwie, o głośnych już w całej Polsce podziemiach poważnie grożących zawaleniem się pewnej części ul. Lubelskiej, ale po zabezpieczeniu i uporządkowaniu mogących stać się atrakcją na miarę europejską.

Wieczorne spotkanie towarzyskie, które zakończyło dzień sobotni, dało sposobność do serdecznej pogawędki ludziom, których wiąże wiele dawnych wspomnień.

A nazajutrz — tzw. „seminarium naukowe": aż pięć referatów na temat chełmskiej twórczości artystycznej, naukowego piśmiennictwa chełmskiego i sytuacji gospodarczej oraz perspektyw rozwoju Chełma. Jedynie ten ostatni temat wybiegał w przyszłość, inne — mówiły raczej o dorobku przeszłości. Słusznie w dyskusji przewodniczący Zarządu Głównego Związku Spółdzielni Mieszkaniowych i Budowlanych Witold Kasperski (oczywiście też chełmianin, przedwojenny poeta) wyraził życzenie, aby przyszłe zjazdy wiązały się nie tylko z twórczością artystyczną, ale również z naukową i techniczną, a ktoś (czy nie Popowski?) wystąpił z wnioskiem, aby „Ziemię Chełmską" przekształcić w ukazujący się regularnie periodyk, np. kwartalnik, ale poświęcony wszelkim sprawom związanym z miastem i regionem. Propozycja warta zastanowienia. Gdyby jednak ten pomysł miał dojść do skutku, konieczny byłby bardzo staranny dobór materiału i odsiew wszystkiego, co mogłoby trącić prowincją. Chełm — miasto PKWN, pierwsza (jednodniowa) stolica odrodzonego państwa i ośrodek wielkiego przemysłu cementowego — musi mieć poważniejsze ambicje i może im sprostać.

Zadowolony jestem z wzięcia udziału w Zjeździe. Spotkałem się znowu z byłymi uczniami, a dziś kolegami i bliskimi mi ludźmi. Bazylewski, Kasperski, Listowski, Morawski, Popowski, Sosnowski, Szczawiej, Szumski i Twardzik — to „stara gwardia". Szkoda, że wśród niej zabrakło chorujących w tym czasie prof. Wincentego Okonia i poety — Mrozowskiego, że nie przyjechał Izoń Gasiorowski. Ale i ci młodsi chełmianie, zdolni poeci Longin Okoń i K. E. Steszuk, przy bliższym poznaniu stali mi się bliscy.

Ogólne sympatyczne wrażenie niezwykłej gościnności, troski i serdeczności ze strony organizatorów Zjazdu, którzy przygotowując go nie małe ponieśli trudu, mąciła mi jednak pewna osobista sprawa, której nie mogę przemilczeć. Żenowałmnie bardzo i krępowało eksponowanie mojej osoby. Nie tkwijmy wciąż w przeszłości, nie stwarzajmy legend. A jeśli ma się mówić o jakichś zasługach, to dlaczego na Zjeździe ani razu nie padło nazwisko nieodżałowanej Kazimiery Pierackiej? (A może wspomniano o niej przed odegraniem sztuki Szaniawskiego, na której nie byłem, wyjechawszy wcześniej.) Dlaczego zasłużonego założyciela Muzeum Chełmskiego, regionalistę i wychowawcę młodzieży prof. Kazimierza Janczykowskiego przypomniał dopiero w dyskusji mgr J. Papużyński?

— kaj —

Białostoccy plastycy

Jerzy Lengiewicz — znany malarz i grafik młodego pokolenia, uczestnik festiwali szczecińskich, Biennale Form Przestrzennych w Elblągu i innych wystaw ogólnopolskich. Fot. W. Młyńczyk

Przeciw oszczerczym plotkom

WALDEMAR BABINICZ

Córka na lodzie...

— Brakowało mi 7500 zł i dlatego córka została na lodzie.

— Ho, ho. Musieliście ją wysoko windować!

— Na Akademię Medyczną.

— Podrożało w tym roku, czy jak?

— E, co to, to nie. Normalnie: 30000.

— Ale przecież na prawo taniej?

— Co prawo, to nie medycyna. Na prawo za połowę obleci.

— Nie wierzę. Wszystko drożeje, a prawo miałoby zostać po staremu?

— Na takie rzeczy, człowieku, ceny są stałe. Za rok będziecie i wy mieli kłopot z córką, przekonacie się sami.

— Iii, moja na studia nie pójdzie. Wystarczy jej SN.

— To nie słyszeliście, że w tym roku na SN też był ścisk?

— Słyszeć słyszałem, ale na SN nie biorą.

— Póki co. Jak się zorientują, że i na te szkoły jest popyt, zaraz się znajdą pośredniki. Tylko czekają. Pewnie, że będzie taniej, bo to nie wyższe...

Obserwuję obu rozmówców już od dłuższej chwili. Staram się nawet zwrócić na siebie uwagę: chrząkam, dzwonię łyżeczką, szeleszczę gazetą. Owszem, ten specjalista — rzeczoznawca od studiów wyższych nawet raz i drugi zerknął w moją stronę, ale wcale się nie peszy, peroruje nadal, tłumaczy, wyjaśnia, przytacza konkretne fakty. Może zarzuca sieci na klienta, kolejną ofiarę w przyszłym roku? Wreszcie włączam się do dialogu. Siedzę w kawiarni wiejskiej, czy, jak każe oficjalna nomenklatura, w klubo-kawiarni. Coraz częściej i tu, jak w kawiarni na Nowym Świecie, spotyka się ludzi, którzy ubijają przeróżne interesy, gawędzą na abstrakcyjne tematy, plotkują, flirtują, sądzą i odsądzają, ferują wyroki, kształtują opinię i bardzo rzadko rozmawiają o siewie, nawożeniu, o zbiorach. Właśnie jak w mieście. Kawiarnia jest miejscem odpoczynku, nie mówi się w niej o sprawach zawodowych...

Moja ingerencja przyjęta jest pobłażliwie. Wiadomo, że muszę bronić autorytetu szkoły, profesorów, nauki. Ale życie jest życiem, a pewne zjawiska są empirycznie sprawdzalne. I natychmiast sypią się nazwiska, z reguły mieszkańców oddalonych wsi. Warto by do nich dotrzeć, zweryfikować. Czy to jednak coś da? Od kilku lat szukam źródeł, znam tu przecież, w swojej wsi, wszystkich bez wyjątku mieszkańców. Ba, w ubiegłym roku bliska mi osoba została wprawdzie przyjęta na UJ, ale odmówiono jej stołówki i miejsca w Domu Akademika. Sąsiedzi wydelegowali człowieka ze wszech miar godnego zaufania, pokrył koszta przejazdu. Pełnomocnik wrócił po dwóch dniach, istotnie widział na własne oczy na liście: odmówili. A jednak podejrzewam, że ten i ów nie dał wiary nawet mężowi zaufania.

Przytacza się i inne przykłady. Oto nie została przyjęta córka sekretarza Komitetu Powiatowego. Na zielonej trawce wylądowała córka wysokiego dostojnika ze szczebla wojewódzkiego, więcej: mówiło się jako o absolutnie pewnym fakcie o młodzieńcu, jedynaku bardzo wysokiej osobistości ze stolicy, który od dwóch lat jakoby nie może dostać się na studia. Jeszcze więcej: córeczka profesora wyższej uczelni nie została przyjęta na UW, fakt stwierdzony z absolutną pewnością.

Czy wszystkie te informacje podawane sobie z ust do ust pomogły? Czy położono kres plotkom uwłaczającym naszej nauce, podważającym dobre imię naszych uczonych, znanych profesorów, a jeśli nawet nie im bezpośrednio, to czy wolno tolerować, aby zarzucano korupcję, przekupstwo, łapownictwo jakimkolwiek pracownikom wyższych zakładów naukowych? Przecież orgia oszczerstw trwa nieustannie, pogłoski o łapownictwie, szerzone na dalekim zapleczu sięgają rozmiarów skandalicznych, niebywałych!

Dziwi mnie cisza panująca w tej dziedzinie w prasie. Owszem, sprawę tę poruszono w kilku artykułach przed dwoma bodaj laty, ale poprzestano na sygnale. A rzecz toczy się nadal...

Wiem. Na wsi panuje przekonanie, że właściwie żadnej sprawy w mieście powiatowym nie można załatwić bez... gościńca. Tak się to nazywa delikatnie, chociaż słowo to wymawia się już dziś z odpowiednim akcentem i grymasikiem na twarzy. Nawet, kiedy się jedzie w sprawie zupełnie drugorzędnej, błahej i tak bagatelnej, że przy dobrej woli można ją załatwić przez dziecko, nawet i wtedy bierze się ze sobą masło, ser, bodaj kilka jajek. Oczywiście, nie mogę twierdzić, iż artykuły te docierają do rąk urzędników. Przeciwnie: znam bardzo wiele wypadków, świadczących o wysokiej etyce — (a może rączej o normalnej etyce, o zwykłej uczciwości) urzędników, ale „tradycja" istnieje, zakorzeniła się: z pustymi rękami nie wypada zakłócać spokoju urzędnikowi. Nie wiem, czy, jak twierdzą niektórzy, przed wojną można było dziecko chłopskie umieścić w gimnazjum za grubą łapówkę. Osobiście jestem przekonany, że to kalumnia, zwyczajne oszczerstwo.

Fot. A. Polakowski

Sporadyczny wypadek niczego nie dowodzi. Nigdy jednak nie ważono się twierdzić, że można otrzymać indeks uniwersytecki za kilkanaście czy kilkadziesiąt tysięcy złotych. Skąd ta oszczercza plotka?

Przypominam sobie pewne logiczne rozumowanie. „Pośrednik" — niebieski ptak, po prostu oszust, bierze od kilkunastu naiwnych określoną sumę pieniędzy. Kalkulacja prosta: spośród 15 kandydatów trzech, czterech przeciśnie się przez ucho igielne bez niczyjej pomocy. „Pośrednik" zwraca „uczciwie" naiwnym pieniądze, zatrzymując „honorarium" od tych osób, których synowie (córki), na studia zostali przyjęci. W opinii publicznej uchodzi za bardzo przyzwoitego człowieka, za ustosunkowanego, mającego „chody". Są przecież niezbite dowody. „Pośrednik" oczywiście nie oglądał ani profesorów, ani asystentów, najczęściej nie wie nawet, gdzie znajduje się uczelnia. Nie ryzykuje. Uszczęśliwieni rodzice są wdzięczni do grobowej deski, inni też nie mają powodu do narzekań, bo nic na transakcji nie stracili. A „pośrednik" zarobił netto, nie ponosząc żadnych strat, kilkanaście tysięcy. Że opluł, zbezcześcił, obrzucił pacynami błota uczelnię, której się mieni rzecznikiem, że utwierdził naiwnych w przekonaniu, iż bez łapówki nic się dziś nie wskóra? A cóż go to wszystko może obchodzić? Takie sprawy nie docierają do jego świadomości, toż to kanciarz, naciągacz, hochsztapler, złodziej, kanalia.

I nic nie pomaga, że wprowadzono punktację, że na niektóre wydziały kandydaci zdają anonimowo, że prace ich są sygnowane tylko numerkami. Owszem, ludzie wszystko to wiedzą. Nie na próżno istnieją środki masowego przekazu: radio, TV, prasa. Nawet w zapadłej, odciętej o dziesiątki kilometrów od świata Wólce wiedzą, ile punktów otrzymuje się za pochodzenie, za dobre oceny w ostatnich dwóch klasach szkoły średniej, za język obcy. Ludzie w Wólce wiedzą nawet, że istnieje różnica w punktacji na uniwersytetach i w politechnikach. Wszystko wiedzą. A jednak rozmowa, której fragment przytoczyłem na wstępie toczyła się we wrześniu br.

Co robić?

Potępiać, piętnować, wypalać rozpalonym żelazem? Za mało i skutek znikomy. Medytuję. Jestem też w jakiś sposób współuczestnikiem tego wielkiego „procesu". Dawniej, przed laty, kiedy wyjeżdżałem do Warszawy, obdarzano mnie różnymi poleceniami. „Kup pan zegarek dla żony, dla syna, w stolicy tanie i dobre; kup pan coś na imieniny memu mężowi, sama nie wiem co, niech już pan sam zadecyduje". Kupowałem, przywoziłem, pamiętam nawet, że w pewnej bardzo delikatnej misji pomagał mi człowiek wysoko postawiony w hierarchii i jeszcze później zapytywał, czy dogodziliśmy petentce. Bawiła mnie ta funkcja, to zaufanie ludzi, puszyłem się nim, byłem dumny. Ludzie twierdzili, że mają ze mną wygodę. Później zaczęli grymasić. Taki materiał? Taki pierścionek? Wiecie przecież, pamiętacie, jak wzrastały wymagania, kształtowały się gusta, rosły apetyty. Później ludzie sami zaczęli jeździć. Pociągami, motorami, samochodami. Zresztą dystrybucja okrzepła. Piękne pantofelki z importu można bez trudności, a nawet prędzej niż w stolicy, otrzymać w Wodzisławiu czy Sędziszowie. Ale jeździłem ciągle. I ludzie dowiadywali się, że uczestniczę w jakimś posiedzeniu, w którym właśnie brał udział profesor X, rektor Z, czy naczelnik Y, może nawet ktoś ważniejszy. Więc dawniej zegarek, książka, sukienka, a dziś... „Będzie się pan widział z profesorem X, poproś go pan, aby miał względy dla mojej córki, przecie pan wie, że stawiam oborę, że się spaliłem, że mam nóż na karku, że żona w szpitalu" itd, itp. I wiecie? Zdarzały się wypadki, że prosiłem, molestowałem, pisałem, zwłaszcza wtedy, kiedy w i e d z i a ł e m, że córka czy syn to człowiek niezwykle pracowity, zdolny, że rodzice są w wyjątkowo krytycznej sytuacji *). Czasami na skutek tych „dopraszań się" kandydat był istotnie dłużej pytany, okazywało się, że był nieśmiały, że mieszkał całe życie na wsi, nigdzie nie bywał, że miał ukryte, nieprzeciętne zdolności, talent.

Może więc sąsiedzi moi, ci bliżsi i ci dalsi, tak sobie d u m a j ą n a p r z y ż b i e: „B. załatwia i nie bierze, ale na pewno są tacy, co załatwiają i biorą"...

Wywód ten był mi potrzebny, ponieważ staram się każdą ingerencję zaczynać od analizy własnego postępowania. Tyle lat mieszkam na wsi! To trudniej, znacznie trudniej niż... lepiej nie sięgać za wysoko, a nuż właśnie będę musiał prosić o pomoc kogoś bardzo ważnego, a ten ci się akurat obrazi za porównanie.

Ale nie zamierzam wykręcać się sianem. Nie mogę twierdzić, że zadaniem publicysty jest zasygnalizować sprawę, ukazać ją w ostrym świetle. Środki zaradcze powinny znaleźć właściwe czynniki.

Nie odpowiada mi taki pogląd i dlatego proponuję:

mówić o tych drażliwych, drastycznych sprawach z młodzieżą w szkołach średnich;

dyskutować na zebraniach komitetów rodzicielskich;

konfrontować i przedstawiać rzeczywistość w zakładach kształcenia dorosłych (uniwersytety powszechne), ale nade wszystko:

uznać tę sprawę za palącą, krzywdzącą naszą politykę oświatową, nasz wielki dorobek w dziedzinie oświaty, kultury, nauki i wobec tego omawiać problem tak, jak omawia się sprawy najwyższej wagi na zebraniach partyjnych, organizacji społecznych, zawodowych.

Jestem oczywiście za metodą uświadamiającą, za profilaktyką, wykluczam k a r y.

Warto też, abyśmy wszyscy przy każdej okazji sprawę tę poruszali w każdym środowisku, na wszystkich „szczeblach".

Na pewno skuteczne byłyby rozmowy samych studentów. Ci są najlepszym, bo żywym przykładem. Mogą świadczyć. Powinni. W imię dobra uczelni i katedr, w obronie własnej czci.

*) Zobacz „Działęt", powieść autora wydaną w ub. r. przez Wydawnictwo Literackie.

LUBLINIACY w służbie Szekspira

JAN DĄBROWSKI

SZEKSPIR dotarł do Polski na przełomie wieków XVIII i XIX. Bogusławski wystawił we Lwowie „Hamleta" w 1797 r., a słynny „Hamlet" minkowicki w tłumaczeniu Jana Nepomucena Kamińskiego ukazał się w 1805 r. Były to jednak tłumaczenia i przeróbki z tekstów niemieckich lub francuskich, bardzo odległe od poetyckich wartości oryginału. Dopiero około 1840 r. ks Ignacy Hołowiński, kanonik kijowski, rektor i profesor Akademii Duchownej w Petersburgu, późniejszy metropolita mohylowski, przetłumaczył 6 utworów i wydał je w latach 1839—1841. Tłumaczenia były słabe, ale stanowiły pierwszą pracę na tym polu.

W tym pierwszym okresie wśród tłumaczy polskich spotykamy nazwiska Lubliniaków.

W 1857 r. polskie tłumaczenie „Makbeta" wydał Andrzej Edward Koźmian (1804—1864), który urodził się w Piotrowicach pod Lublinem. Był synem Kajetana, autora „Ziemiaństwa Polskiego". Kształcił się w Lublinie i na Uniwersytecie Warszawskim, który ukończył w 1827 r. Przeznaczony przez ojca do służby dyplomatycznej, mianowany został kamerjunkrem w Warszawie. W latach 1829—1830 odbywa podróż do Francji i Anglii, na początku podróży zahaczając o Weimar, gdzie spotkał się z Goethem. Po upadku powstania, w którym nie brał udziału, osiadł w Piotrowicach. W latach 1857—1858 przebywa w Poznańskiem, a w latach 1858—1864 w Paryżu.

Wydał prace o stanie włościaństwa w Polsce, wspomnienia o Zygmuncie Krasińskim, przetłumaczył „Makbeta", ale do najpoważniejszych jego prac należą listy (4 tomy) i „Pamiętniki wieku XIX" wydane w 1867. Pisze wtedy z nutką żalu: *„Bo jakże to daleko od angielskich hoteli do austerii w Bełżycach lub Bychawie?"*.

Tłumaczenie „Makbeta", utrzymane w stylu sztywnych form pseudoklasycznych, prof. Tarnowski uważa na wyraz hołdu, złożonego Szekspirowi przez chwiejącego się w swych zasadach pseudoklasyka: *„każdy modli się jak umie"*.

W 1866 r. ukazał się tom I „Dzieł Dramatycznych Szekspira". W skład tego tomu weszły: „Sen nocy letniej", „Król Lear" i „Dwaj Panowie z Werony", w 1869 r. — tom II tego dzieła („Król Jan" i „Król Ryszard II"), a w 1877 r. — tom III („Król Henryk IV", cz. I i II). Tłumaczem tych utworów był Stanisław Egbert Koźmian (1811—1885), syn Jana, brata Kajetana, a więc stryjeczny brat Andrzeja Edwarda. Urodził się we Wronowie pod Lublinem, kształcił się w Lublinie i w Warszawie. Brał udział w powstaniu listopadowym, walczył pod Grochowem, a po upadku powstania udał się przez Hannower i Brukselę do Paryża, skąd w 1832 r. — do Londynu. Na pewien czas osiada w Birmingham, a w 1835 r. w Londynie, gdzie zostaje sekretarzem lorda Dudley Stuarta, prezesa Towarzystwa Przyjaciół Polski. Drukuje w czasopismach angielskich wiele artykułów o zagadnieniach polskich. Po 12 latach opuszcza Anglię. Napisał dwutomowe dzieło pt. „Anglia i Polska", został do końca życia miłośnikiem kultury angielskiej i zyskał w literaturze polskiej miano anglofila w najlepszym znaczeniu tego wyrazu.

Tłumaczenia utworów Szekspira stanowią osobny tytuł do sławy w dziejach polskiej anglistyki. Zaczął pracować na tym polu od 1837 roku.

Wymagał on od siebie jako tłumacza tak wiele i tak wiele czasu tracił na pokonanie drobnych nieraz trudności, że w ciągu blisko 30 lat poświęconych Szekspirowi przetłumaczył w całości tylko 7 dramatów. To on po raz pierwszy zastanawiał się nad „dwoma systemami tłumaczenia Szekspira", z których jeden polega na absolutnej wierności, drugi na trzymaniu się tylko myśli oryginału i *„przyoblekaniu ich w danym języku"*. Obrał pierwszą drogę. Mówi o tym wyraźnie: *„w słowach Szekspira „speak of me as I am"* (Otello, V, 2) *zdawało mi się zawsze słyszeć przestrogę: „tłumacz mnie jak napisałem". Dlatego choć nieraz właściwy lub silniejszy wyraz się nastręczał, kładłem taki, jaki najbliżej odpowiada znajdującemu się w oryginale".*

Tłumaczenia Koźmiana wchodzą do wszystkich podstawowych wydań dzieł Szekspira. Fachowa krytyka szekspirologiczna oceniła b. wysoko pracę przekładową St. Koźmiana. Tarnowski w pracy „O polskich przekładach dramatów Szekspira" tak pisze:

„Z mrówczą pracowitością zagłębiał się Koźmian w subtelnościach krytyki tekstu i objaśnieniach miejsc o znaczeniu spornym. Mimo niezaprzeczonego talentu poetyckiego, skrępowany był nieco formą. Przekłady jego mają ustępy prawdziwie piękne. Gdzieniegdzie powiodło mu się zachować całą zwięzłość oryginału, a równocześnie niewiele usunąć z jego poetyckich piękności. Podchwytywał często szczęśliwie ton poszczególnych dialogów, pomagając sobie zręcznie użytymi archaizmami. On sam nie rościł sobie pretensji do nazwy wzorowego tłumacza. Uważał się za „prostującego drogę Pańską" i gorąco wzywał młodych do wstępowania w swe ślady. Ułatwiał też następcom robotę, zaopatrując przełożone przez siebie dramaty w wyczerpujące, mozolnie zebrane objaśnienia, którymi nie powinni gardzić nawet Polacy, czytający Szekspira w oryginale".

Podziw dla Anglii i zachwyt dla utworów Szekspira zachował Koźmian w ciągu całego długiego życia.

W latach 1875—76 ukazało się od dawna oczekiwane wydanie polskie wszystkich dramatów Szekspira, przygotowywane przez Kraszewskiego. Kraszewski był u nas chyba najznakomitszym i najwytrwalszym entuzjastą Szekspira. Sam przez 30 lat studiował Szekspira i krytykę szekspirologiczną całego świata, w niezliczonych artykułach przekazywał opinię publiczną o konieczności wydania w języku polskim wszystkich utworów Szekspira, wybierał tłumaczy, montował specjalną spółkę wydawniczą do podjęcia tego wielkiego jak na stosunki polskie dzieła. Kiedy wreszcie spółka taka powstała, ogólną redakcję powierzono oczywiście Kraszewskiemu i zobowiązano go do napisania obszernej przedmowy oraz objaśnień do każdego utworu.

Z wielu tłumaczy wybrał Kraszewski trzech najlepszych — Paszkowskiego, Koźmiana, Ulricha. Koźmian i Ulrich byli Lubliniakami.

Koźmian to znany nam już Stanisław Egbert z Wronowa.

Leon Ulrich (1811—1885) był synem poczmistrza z Urzędowa, kształcił się u pijarów w Opolu i w Lublinie, gdzie kolegował z Koźmianami. Te stosunki koleżeńskie zamieniły się w trwającą do śmierci przyjaźń, szczególnie ze Stanisławem. Przeszli razem na Uniwersytet Warszawski, gdzie studiowali prawo i administrację, a po upadku powstania wyruszyli na zachód: Koźmian do Anglii, a Ulrich do Francji, gdzie osiedlił się w Bordeaux. Po pewnym czasie udał się do Anglii, gdzie spotkał się ze swym przyjacielem i wtedy to powstała myśl przetłumaczenia wspólnie wszystkich utworów angielskiego dramaturga. W 1840 r. wrócił do Bordeaux, gdzie z małą przerwą przebywał do końca życia. Trudnił się udzielaniem lekcji, żył w warunkach bardzo ciężkich i wszystkie wolne chwile poświęcał na tłumaczenia Szekspira, Plutarcha, Arystofanesa.

O Ulrichu Kraszewski dowiedział się od Koźmiana. Rozpoczęła się korespondencja z Ulrichem, który gotów był dostarczyć rzeczywiście tłumaczenia wszystkich utworów Szekspira.

Dzieło Ulricha było niezwykłym wydarzeniem w skali nie tylko polskiej, ale i światowej. Ale ponieważ Kraszewski miał już zawarte umowy z wdową po Paszkowskim i Koźmianem, do wydania włączono tylko te tłumaczenia Ulricha, których brakowało. Ostatecznie Kraszewski wybrał 13 tłumaczeń Paszkowskiego, 4 Koźmiana i 20 Ulricha. W trzecim z kolei, pełnym wydaniu dzieł dramatycznych Szekspira, które ukazało się w Krakowie w 1895 r. w 12 tomach, umieszczono tylko i wyłącznie przekłady Ulricha.

Kraszewski był wysokiego mniemania o przekładach Ulricha i pisał o nich tymi słowy:

„Najwięcej zawdzięczamy profesorowi Ulrichowi. Ten tłumacz, który jest równocześnie znakomitym filologiem i zamiłowanym lingwistą, miał już wszystkie utwory Szekspira przetłumaczone kiedy wydawcy zwrócili się do niego o współpracę. Wzięliśmy od niego wszystkie tłumaczenia, które odstraszały innych lub były dla nich za trudne. Ulrich poświęcił wiele lat cierpliwej pracy Szekspirowi dlatego, że go kochał. Dzięki takiemu bliskiemu kontaktowi z autorem — tłumaczenia jego mają potęgę, piękno i lekkość oryginału. Wartość jego pracy nie jest bynajmniej niższa od prac Koźmiana i Paszkowskiego przewyższa on jednak obu tych tłumaczy pod względem oddania wierności klimatu dramatów szekspirowskich.

Ulrich, zawsze pełen skromności i świadomy swych błędów, wynikających z długiego przebywania wśród obcych, tak pisał do Kraszewskiego:

„Zbyt często stwierdzałem z żalem, że wybrzeża Garonny nie są najlepszą szkołą nauki języka polskiego. Każda, drobna nawet trudność stawała się zagadką nie do rozwiązania, gdyż w bibliotekach publicznych łatwiej było znaleźć przysłowiowe „ptasie mleko", niż polską książkę. Tak więc pozostawiony własnej inwencji stawałem w obliczu coraz to nowych trudności i miałem często obawę, że moje tłumaczenia będą w swym smaku raczej gaskońskie niż polskie. Pańska pochlebna opinia uspokoiła mnie i jestem Panu za to bardzo wdzięczny".

Do rozpowszechnienia znajomości Szekspira w Polsce przyczynił się jeszcze jeden Lublinjak — Stanisław Koźmian (1837—1922), syn Andrzeja Edwarda z Piotrowic, polityk, literat, teatrolog. W latach 1865—1885 był kierownikiem artystycznym i dyrektorem teatru krakowskiego i wprowadził na scenę polską największą w XIX wieku ilość premier sztuk Szekspira. W zamiłowaniu do tego repertuaru było trochę tradycji rodzinnych. Ale przede wszystkim był to świadomy i systematyczny plan przyswajania dramatów Szekspira scenie polskiej i po raz pierwszy w Polsce w przekładach z oryginałów.

WILLIAM SHAKESPEARE

Sonet XXVII

Weary with toil...

Do łoża mego zdążam wielce utrudzony,
by członki me wytchnęły a wraz z nimi głowa,
Lecz gdy przymknę powieki i w senne regiony
chcę wejść — znów wędrówka w mej głowie zaczyna się nowa.

I myśli wtedy moje, chociaż są daleko,
pielgrzymują drogami, które znają ślepi.
Więc szeroko z uporem otwieram powieki,
by wątłych cieniów ścieżki poznać jak najlepiej.

Tak jak klejnot posępny w strasznej nocy łonie
twój cień się kładzie na moje widzenie.
Mogę wtedy mą duszę od zguby obronić
w głębinie wyobraźni zrodzonym spojrzeniem.

W dzień me członki a w nocy mój umysł się znoi.
Dla Siebie i dla Ciebie nie mając spokoju.

Sonet XXVIII

How can I then...

Czy mogę zdobyć kiedyś równowagę ducha
Jeślim postradał całkiem błogi stan spokoju?
Kiedy ucisk dnia, w nocy, w myśli zawieruchę
Zmienia się — i dzień jak noc stają mi się znojem.

I choć każdy z tych wrogów oddzielnie mnie gnębi
To dłonie zgodnie łączą, by mnie torturować:
W dzień bez przerwy się miotam — w rozpacz znowu głębiej
wpycha w nocy mnie moja rozpalona głowa.

Dniu mój — mówię — ty jesteś tak wielką jasnością,
że nawet chmurne niebo jest piękna kolorem.
Nocy ciemnej pochlebiam, że gwiazd roje gości
i hojnie ich iskrzeniem wyzłaca wieczory.

Lecz mimo to dzień co dzień me smutki powiększa
A noc czyni rozpacze me coraz silniejsze

Z oryginału przełożył Wacław Gralewski

O klubach „Ruchu" wbrew pesymistom

JAN RODAK

KONKURS na „najlepszy klub wiejski 1966 r." spotkał się na Lubelszczyźnie z dużym zainteresowaniem, czego wymownym dowodem jest liczba około 400 klubów książki i prasy „Ruchu" i klubów „Rolnika", które uczestniczyły w tej imprezie, zainicjowanej przez Ministerstwo Kultury i Sztuki, Zarząd Główny ZMW, CZWPiK „Ruch" i CRS „Samopomoc Chłopska".

Po zakończeniu prac powiatowych i wojewódzkiej komisji konkursowych znane są już wyniki współzawodnictwa. Na 19 powiatów, jedynie w powiatach lubartowskim i włodawskim zwyciężyły kluby „Rolnika". W pozostałych — właśnie kluby „Ruchu".

Pierwsze miejsce w skali województwa zajął również Klub Książki i Prasy „Ruchu" w Palikijach (pow. Bełżyce).

Taki podział sukcesów jest zrozumiały wobec faktu, że idea organizacji klubów wyszła właśnie z CZWPiK „Ruch", który poza tym nabrał większego doświadczenia prowadząc od wielu lat kluby międzynarodowej prasy i książki. Warto też przy okazji wspomnieć, że od pierwszej chwili istnienia klubów „Ruchu" są one w centrum uwagi całego aparatu instytucji.

Możemy więc my, pracownicy „Ruchu", powiedzieć o sobie, że konkursu nie przegapiliśmy, że jego wyniki dają nam pełną satysfakcję za nieprzespane noce, a chyba i za docinki, jakie przez pewien czas kierowali pod naszym adresem „kawiarniani działacze kulturalni". Intencje inicjatorów i organizatorów konkursu miały jednak na celu nie tylko ustalenie lokat dla poszczególnych klubów, czy też przyznanie im mniej lub więcej wartościowych nagród, ale przede wszystkim uaktywnienie pracy kulturalno-oświatowej, działalności społeczno-politycznej rad klubów i środowiska zgrupowanego wokół klubu. Bez przesady należy stwierdzić, że ten cel został osiągnięty.

W trakcie trwania konkursu urządzono tysiące imprez kulturalnych, spotkań, wieczorków, zebrań, szkoleń, odczytów itp. Jednocześnie zorganizowano setki zespołów o stałych formach działania.

Praca kulturalno-oświatowa w klubach została poważnie ożywiona i wzbogacona wieloma nowymi, a nawet wręcz nowatorskimi formami. Do takich zaliczamy kabaret wiejski „Wóz na czterech kółkach", oparty na oryginalnych tekstach poruszających sprawy środowiska i utworzony przy najlepszym w województwie klubie „Ruchu", we wspomnianych już Palikijach. Kabaret ten (czy nie jedyny w Polsce?), wyrosły i działający na wsi, w okresie jesienno-zimowym dał 10 przedstawień dla mieszkańców okolicy. Przy klubie w Palikijach powstał również unikalny na terenie wiejskim Teatr Poezji o dużych ambicjach i zamierzeniach.

Zrozumiałe, że prowadzenie pracy na tak wysokim poziomie, jak na środowisko wiejskie, wymaga odpowiedniego przygotowania i zdolnych ludzi. W Palikijach motorem działalności klubu jest przewodniczący społecznej rady — nauczyciel z zawodu — Władysław Różański. Klub dał temu młodemu człowiekowi pole działania, szansę wykazania się zdolnościami artystycznymi i ambicjami społecznika. I w tym m. in. mieści się sens organizowania klubów.

Bardzo bogate i różnorodne formy pracy kulturalno-oświatowej i wychowawczej zanotowaliśmy w najlepszym klubie „Ruchu" w pow. puławskim — w Wojcieszkowie. Działają tam kółka zainteresowań o rzadko spotykanej na wsi problematyce, m. in. „Kółko miłośników literatury", „Kółko miłośników regionu Wojcieszkowa", „Kółko chemiczne". Jest kącik „mów poprawnie", gdzie wymienia się najczęściej spotykane tu błędy językowe. Prowadzone są tzw. „Spotkania autorskie — bez autora", podczas których grupa chętnych przygotowuje prelekcje niejako w imieniu autora.

Kółka zainteresowań zaskakują różnorodnością. W zamojskim Guciowie, gdzie klub „Ruchu" także uplasował się na pierwszym miejscu, istnieje „Kółko miłośników dobrej płyty", w Kolanie (pow. parczewski) — „Kółko twórczości ludowej", w Pożogu (pow. puławski) — „Kółko hafciarskie", w Stawach (pow. bychawski) — „Kółko opiekunów harcerstwa".

Podane przykłady nie wyczerpują zakresu nowatorskiej działalności kulturalnej klubów książki i prasy „Ruchu" na wsi. Niemal każdy z tych, które przystąpiły do konkursu, a nawet i te kluby, które w konkursie nie brały udziału, realizują jakąś nową formę pracy. Np. kluby w Żakowoli (pow. radzyński) i w Pożogu (pow. puławski) wiele czasu poświęciły na pracę z dziećmi.

Rozwijano też konkursy czytelnicze, w których wyróżnił się klub „Ruchu" w Brzeźnie (pow. chełmski), wysyłając na konkurs „Bliżej książki współczesnej" około 200 kuponów, a na konkurs „Złotego Kłosa" około 400 kuponów.

Olbrzymia większość klubów „Ruchu" nawiązała bliską współpracę z bibliotekami gromadzkimi, których pracownicy często wchodzą w skład społecznych rad klubów. Właściwie i należycie układa się współpraca z kołami gospodyń wiejskich, ochotniczymi strażami pożarnymi, kółkami rolniczymi i innymi organizacjami samorządu chłopskiego.

Znacznym powodzeniem, nie tylko u mieszkańców wsi, cieszyły się organizowane z inicjatywy klubów „Najpiękniejsze dni mojej miejscowości". Szczególnie duży rozmach miały te uroczystości w Ciechankach Łańcuchowskich (pow. lubelski), w Zaklikowie (pow. kraśnicki).

Prężna działalność klubów przynosi też inne rezultaty. Oto bowiem przekonała się do nich część działaczy kulturalnych ze „szczebla" powiatowego i wojewódzkiego, którzy dość długo stali na uboczu ruchu klubowego, a często nawet krytykowali go — nazywając „sklepikami". Zmiana tego stosunku jest zasługą m. in. konkursu na „najlepszy klub 1966 r."

Jakie inne wnioski wypływają z analizy ostatniego konkursu? Mojm zdaniem nie należy organizować wspólnego konkursu dla klubów „Ruchu" i „Rolnika". Partykularne ambicje, pogoń za uzyskaniem pierwszych miejsc, a więc i koncentracja środków na „wybrane" kluby, nie sprzyja szerokiemu zasięgowi samego konkursu. Przedsiębiorstwo naszce nie poszło tą drogą, niemniej jednak włożyło dużo pracy w przezwyciężenie tych niedobrych skłonności.

Praca klubów jest niezwykle zróżnicowana w zależności od poziomu i tradycji kulturalnej danego środowiska, jak i wyposażenia w środki masowego przekazu. Dlatego też obiektywna ocena, jaką ma podjąć komisja konkursowa, jest często trudna i nie wyklucza ewentualnych pomyłek — mimo woli. Proponuję aby przyszłe konkursy, bardzo potrzebne, obejmowały swym zasięgiem tylko jeden wycinek prac, np. zespoły chóralne, kółka teatralne, pracy z dziećmi, muzyczne, czytelnicze itp.; każdy klub mógłby oczywiście brać udział w konkursie kilku form. Tak prowadzony konkurs wyzwalałby również społeczną inicjatywę, a jednocześnie ułatwiłby jasne i w pełni sprawiedliwe formułowanie ocen przez komisje konkursowe.

Przedstawione powyżej uwagi nie są ani pełne, ani wyczerpujące. Mają jednak na uwadze dobrą działalność klubów „Ruchu" — poważnego czynnika kulturotwórczego wsi współczesnej.

Czas przechowany w zabytkach

STANISŁAW MICHALCZUK

Horodło. Lwy kamienne (XVIII w.) z zamku ustawione na rynku.
Fot. S. Michalczuk

PRZED nami — proszę wycieczki — stoi Zamek, a za nami jest Brama Grodzka, przez którą wyszliśmy ze Starego Miasta — ciągnie monotonnie lubelski cicerone.

Wyjdźmy razem z nim z brudnego rynku i zatęchłych uliczek i zanim ktoś nam otworzy, ciągle zamknięte, podwoje zamkowej kaplicy — jednego z trzech obiektów zabytkowych grupy zerowej (o grupach czytaj niżej) w województwie lubelskim i jednego z pięćdziesięciu dwu o tej skali zabytków w kraju — i zanim ten ktoś otworzy przed nami piwnice XVI-wiecznej winiarni, a może również muzeum staropolskiego sądownictwa w Trybunale... i może „domu mieszczańskiego w kamienicy Konopniców (można mylić: Sobieskich) — rzućmy okiem na „Spis zabytków architektury i budownictwa", wydany dwa lata temu przez Ministerstwo Kultury i Sztuki. Wymieniono w nim 36262 obiekty architektury murowanej i drewnianej w Polsce, podlegające ochronie i zasługujące na popularyzację.

Wiemy wreszcie, co mamy, czym powinniśmy się opiekować i co należy pokazywać i oglądać. Grupa zerowa obejmuje zabytki o najwyższej wartości artystycznej, historycznej czy naukowej w skali światowej (tzw. Pomniki Historii), cztery dalsze grupy to zabytki o wartościach krajowych, regionalnych, przeciętnych i minimalnych. Zabytki rzeźby i malarstwa będą ujęte w następnych tomach tego wydawnictwa.

Odziedziczyliśmy po 1000-leciu nie to, co na naszych ziemiach było, ale to co zostało. Życie dzieł sztuki jest uwarunkowane wieloma czynnikami. Częściej giną przedwcześnie niż umierają śmiercią naturalną. Pomimo wysiłków społeczeństwa i służby konserwatorskiej ślady przeszłości stale się zacierają.

* * *

Zabytki są najbardziej autentycznymi i najłatwiej dającymi się upowszechnić dokumentami przeszłości. Tak jak każdy wytwór człowieka, budowle, obrazy, rzeźby, artystyczne sprzęty i drobiazgi wiążą się z konkretnymi postaciami, nie tylko sławnych osobistości, lecz również z ludźmi tworzącymi zwykłą codzienność. Wiążą się z kulturą materialną i duchową wszystkich warstw społecznych, z kierunkami ideologicznymi i prądami umysłowymi, z dobrobytem i biedą narodu w okresach koniunktury czy upadku naszej państwowości.

Nic, co działo się na wschodnich rubieżach kraju, nie pozostało bez śladów w sztuce. Architektura obronna czy skaralna obok walorów formalnych przechowała odrębności i zbliżenia narodowo-kulturalne, jakie nawarstwiły się w ciągu wieków na pograniczu wpływów ruskich i polskich. Podobnie w malarstwie prześledzić można bardzo wyraźnie ciążenie obu kultur ku sobie. Liczne wydarzenia historyczne utrwaliły się w budowlach, które po dziś dzień przypominają nam poczynania dzielnego księcia Daniela, wielkiego budowniczego króla Kazimierza, zwycięskiego Jagiełły, uczonego kanclerza Zamoyskiego i patriotyczno-historyczne przedsięwzięcia Czartoryskich. Z typów i charakteru budowli sakralnych odczytujemy zazębiające się pogranicze chrześcijańskiego Zachodu i Wschodu oraz burze innowierczych zmagań z okresu kontrreformacji. Nielicznie zachowane po ostatniej wojnie synagogi i cmentarze żydowskie mówią o bogatej na tych terenach kulturze tego narodu, tworzącej niegdyś swoisty charakter kresowych miast i miasteczek. Pałace i dwory obok słomianych strzech utrwalają w pamięci zróżnicowanie klasowe mieszkańców. Tu żyli i tworzyli znakomici pisarze, po których pamiątki przechowujemy w Lublinie, Białej Podlaskiej, Romanowie, Hrubieszowie i Nałęczowie. Do historii przechodzą już wydarzenia ostatnich dziesięcioleci. Pomniki, cmentarze i tablice pamiątkowe wskazują, gdzie walczyli i zwyciężali ci, którym zawdzięczamy dziś i jutro naszego kraju.

* * *

Galeria zabytków województwa lubelskiego to nie tylko lubelskie Stare Miasto, malowniczy Kazimierz (grupa zerowa), zielone Puławy i ukryty pod rusztowaniami Zamość (grupa zerowa). Zajmujemy wprawdzie trzynaste miejsce wśród pozostałych województw co do ilości zabytków urbanistyki i architektury wszystkich grup, ale w grupie pierwszej przyznano nam miejsce dziesiąte, a w zerowej szóste. Nie to jest jednak najważniejsze. Możemy się pochwalić bardzo licznymi obiektami sztuki różnych gatunków, które znalazły miejsce w literaturze podręcznikowej historii sztuki polskiej i bez których trudno byłoby mówić o odrębnościach narodowych sztuki polskiej w skali światowej. Trasy turystyczne powinniśmy rozciągnąć wzdłuż i wszerz województwa od Gołębia, Piotrawina Chodla i Gościeradowa do Włodawy i Horodła poprzez Surhów, Krupe, Chełm i Uchanie oraz od Czemiernik i Kodnia przez Radzyń, Lubartów i Łęczną do Tarnogrodu i Hrebennego.

Wschodnie tereny kraju, uboższe gospodarczo i narażone bardziej niż inne na zniszczenia wojenne (szczególnie w czasach średniowiecza), nie wniosły i nie przechowały w skarbcu kultury narodowej monumentalnych budowli romańskich i gotyckich — kaplica zamkowa jest osamotnionym wyjątkiem, ale jakże wspaniałym. Sztuka renesansu dotarła tu z opóźnieniem i może właśnie dlatego otrzymała swoisty, regionalny kształt, wyrażając się w niepowtarzalnych, rodzimych rozwiązaniach tzw. „renesansu lubelskiego". Barok, tak bliski narodowej sarmacji, objawił się wieloma cechami różnych faz stylowych swego rozwoju, też ulegając swoistemu spolszczeniu i związał się nierozerwalnie z klimatem i krajobrazem ziem między Wisłą a Bugiem. Podobny los spotkał klasycyzm. Zaszczepiony w Puławach, rozlał się po zakątkach Lubelskiego w rodzimych formach ziemiańskich rezydencji. Ciekawie wystąpił neogotyk, coraz lepiej obecnie notowany. A na szczególne podkreślenie zasługuje wielka sztuka ludowych cieśli, utajona w małych, kruchych, drewnianych cerkiewkach, które pod osłoną stuletnich, wiernych lip, często dogorywają w zapomnieniu.

Ten przebogaty zbiór starych budowli kryje w sobie cenne dzieła rzeźbiarzy, snycerzy, malarzy i złotników, artystów wielkich i małych, którzy w ciągu wieków wyprodukowali arcydzieła minionych stylów, doskonałego rzemiosła, urzekających bogactwem rozwiązań, motywów i wątków treściowych.

Skarby zabytków regionu lubelskiego czekają na odbiorców miejscowych, krajowych i zagranicznych. Jest co poznawać i są coraz większe rzesze zwiedzających. Mogą się zachwycać swoi i obcy. Czas zatrzymał się w ich formach i treściach. Tysiącletnie dzieje narodu można w nich czytać jak z otwartej księgi. Brak jedynie wszelkich form pośrednictwa. Grupy przewodników nie mogą zastąpić absolutnego braku popularnych wydawnictw, „turystycznej makulatury", przystępnych monografii, folderów, map, wszelkiego rodzaju estetycznie wydawanych, dużych i małych przewodników, ilustrowanych składanek i ulotek, informujących atrakcyjnie i trafnie, stanowiących lekturę w trakcie zwiedzania i po powrocie do domów. Zachęcających i zaspokajających zainteresowania wszystkich.

Zanim to nastąpi (może już tylko rok lub dwa!) Oddział Lubelski Stowarzyszenia Historyków Sztuki pragnie w roku obchodów milenijnych i w roku zbliżającego się 650-lecia lokacji miejskiej Lublina zapoznawać czytelników „Kameny" z jednym z tysiąca czterystu czterdziestu dziewięciu zabytków budownictwa naszego województwa i z ciekawszymi dziełami sztuki, wchodzącymi w skład ich wyposażeń, wybierając mniej znane i zapomniane.

Gołąb. Rzeźba Mojżesza z Domku Loretańskiego, pierwsza połowa XVII w.
Fot. S. Michalczuk

ALEKSY KAZBERUK

ulica

moja ulica jest niepozorna
o bruku nagim
nie przykrytym asfaltem
lepkim
wychodzi z domów
w miasto nasze
naprzeciw wiatrom
zakurzonym
i dzieciom małym
coraz większym
i myślom nagłym
coraz śmielszym
wybiega z ruin
w nowe bloki
i są okiaski — kroki

Białystok

Teatralia tysiącletniego grodu

CECYLIA BŁOŃSKA

JEDEN z najznakomitszych teatrologów — Teofil Trziński pragnął w swoim czasie (rok 1950) poznać dokładnie działalność „Fredreum"... porozumiał się z Zarządem Towarzystwa i prosił o umożliwienie mu osobistego kontaktu z jego przedstawicielem... Kiedy ten w rozmowie przedstawił historyczny ciąg rozwoju Towarzystwa i jego ostatnią firmową nazwę liczącą wtedy (w roku 1950) 40 lat, p. Trziński zdumiał się i powiedział: „Czy pan zdaje sobie sprawę z tego, co znaczy siedem dziesiątków lat istnienia i czterdzieści lat nieprzerwanej pracy teatru amatorskiego pod jedną nazwą?". Przypomniał równocześnie, że we Francji i Niemczech, gdzie ruch amatorski ma bardzo głębokie i dawne tradycje, „Fredreum" prawdopodobnie nie znalazłoby rówieśnika". — pisze Zygmunt Felczyński w swej książce *„Fredreum i inne teatra przemyskie w latach 1696—1960"*.

Obszerna, licząca ponad 366 stronic druku monografia, poświęcona teatraliom tysiącletniego grodu, opublikowana została przez Wydawnictwo Literackie w Krakowie.

Sięgając do pierwocin amatorskiej sceny w Przemyślu, autor datuje jej początki na r. 1696 i do tych — jakże odległych już czasów gromadzi bogaty materiał źródłowy, wyliczając nawet teksty dramatyczne, jakie były grane.

Czytelnika — nie teatrologa oczywiście — bardziej zainteresują sprawy nie tak dawne, okoliczności, jakie towarzyszyły powstawaniu i pracy pierwszych bardziej znanych zespołów amatorskich Przemyśla, m. in. Towarzystwa Dramatycznego założonego w r. 1869.

Rozdziały temu okresowi poświęcone cechuje obfitość materiału informacyjnego, popartego datami, cytatami z ówczesnej prasy. Można się tu dowiedzieć m. in., iż *„rok 1889 był najczynniejszy w dotychczasowych dziejach Towarzystwa. W roku tym odegrano 16 przedstawień, w tym utworów oryginalnych 12, przekładów 4. Własnymi siłami odegrano 11, a 5 z artystami sceny krakowskiej"*.

W r. 1900 Towarzystwo, prawdopodobnie wspólnie już z Towarzystwem Muzycznym, wystawiało operetkę.

Z biegiem czasu temu zespołowi próbują dotrzymać kroku inne teatrzyki: „Sokół" mocno narodowo nastrojony, jak pisze autor, „Gwiazda". Do rywalizacji scen amatorskich o widza dochodzą ambicjonalne spory, ciasne waśnie. Później nad działalnością tych zespołów zaciąży wsteczny, narodowościowy separatyzm. Podczas gdy robotnicy polscy, ukraińscy, żydowscy, odłam radykalnie nastawionej inteligencji, niejednokrotnie podejmą tu wspólną walkę z zaborcą, a później przeciwko sanacyjnemu reżimowi, niektóre zespoły dramatyczne będą, niestety, sztywno przestrzegały narodowościowego podziału.

Stąd podkreślenia godne są wysiłki autora, który z równą uwagą, jaką poświęca „Fredreum", śledzi, skrzętnie gromadzi i prezentuje materiały dotyczące działalności zespołów ukraińskich oraz dziejów żydowskiej sceny amatorskiej w Przemyślu i z wielką pieczołowitością przekazuje czytelnikowi (a na pewno i potomności) nazwiska ludzi oddanych, gorących rzeczników nie tylko teatru ale i muzyki, śpiewu, autorów rozmaitych mniej lub więcej udanych sztuk teatralnych, przekładów, autorów, których pochłonęła hitlerowska zagłada. Po latach dwudziestu od tych straszliwych wydarzeń, Felczyński w ten sposób ocala ich pamięć od zapomnienia.

I w innym jeszcze aspekcie monografia zasługuje na szczególną uwagę. Przynosi ona dużo czasem nieznanych szczegółów dotyczących tras, dat, występów wielkich teatrów na tzw. prowincji pod koniec XIX i z początkiem XX wieku. Przemyśl gościł wówczas rozmaite zespoły: występowały tu teatry ze Lwowa, z Krakowa, grywali aktorzy tej miary, co Bednarzewska, Kamiński, Irena Solska, Wanda Siemaszkowa, Adolfina Zimajer, Bolesław Leszczyński, Karol Adwentowicz i inni. Równocześnie miejscowe zespoły powstawały i rozpadały się, niekiedy wbrew patetycznym nazwom, jak ów teatrzyk „Viribus unitis", który jakoby wspólnymi siłami wydźwignięty przetrwał tylko kilka miesięcy roku 1913.

Czas wykazał, że „Fredreum", na które przemianowane zostało zawiązane w 1910 r. Przemyskie Koło Dramatyczne, przetrwać miało dwie wojny światowe, dając polskiej scenie zawodowej szereg znanych aktorów, jak Barbarę Trznadel-Kostrzewską, Kazimierza Opalińskiego i in. Przeszły do historii zespołu po wielekroć grywane komedie patrona teatru Aleksandra Fredry. (Jego imię nosi pierwsza wzniesiona na Rzeszowszczyźnie szkoła-pomnik Tysiąclecia w rodzinnej wsi Adamówka, którą w roku 1959 z własnych świadczeń wystawiły załogi rzeszowskich PGR).

A przemyskie „Fredreum", co również zadziwiające, przez kilkadziesiąt lat grywa w tej samej siedzibie. Kto zna Przemyśl, wie, jak urocza, jak romantyczna jest owa sala teatralna w starym zamku, otoczonym bujną roślinnością wspaniałego parku.

Aczkolwiek zbyt wielka ilość informacji ubocznych rozsadza niejednokrotnie tok monografii, to osobiście wdzięczna jestem autorowi za tyle szczegółów, graniczących niekiedy ze znakomitą anegdotą, jakie zgromadził o tym właśnie zabytku. Bo przemyski zamek (przemyślanie zwykli określać tym mianem nie tylko pomieszczenie teatru ale i cały park), ze swymi rewelacyjnymi archeologicznymi znaleziskami, stanowi sam dla siebie rozdział w dziejach tysiącletniego miasta.

Warto też dodać, że Felczyński (wychowanek „Fredreum", wieloletni członek jego zarządu), pokusił się o cały obszerny aparat przypisów, objaśnień i not biograficznych, o aneksy członków, prezesów, sekretarzy, reżyserów, dyrygentów i kierowników muzycznych „Fredreum", nie pomijając przy tym suflerów, gospodarzy, dekoratorów. Jeśli dodać jeszcze do tego obszerną bibliografię: Zespół źródeł archiwalnych, prasowych i rozległy wykaz utworów scenicznych, jakie przez tyle dziesięcioleci stały się udziałem przemyskiej sceny, nie tylko amatorskiej, wglądnąć w niezwykłe fotografie z przedstawień, reprodukcje afiszy od najdawniejszych do tych, które anonsowały poszczególne premiery w ostatnim XX-leciu, to chyba nie tylko biblioteki teatralne zechcą uzupełnić swój księgozbiór interesującą pozycją, której źródłem jest tysiącletni Przemyśl.

To miasto o wielkich ambicjach nie raz, w ostatnich zwłaszcza latach, dawało znać o sobie rozmaitymi publikacjami. Sam autor „Fredreum" nie tak dawno wydał również obszerną monografię poświęconą dziejom przemyskiego szpitalnictwa. Oddany miłośnik swego miasta, prawnik z wykształcenia, mgr Felczyński pracując cicho, bez jakichkolwiek prób autoreklamy, dobrze zasłużył się Przemyślowi.

Odnośnie jego teatralnej monografii można by wysuwać pewne zastrzeżenia, czy aby polemiki, jakie — powodowany żywym sentymentem — podejmuje z rozmaitymi ocenami i recenzentami w obronie „Fredreum", są słuszne i w ogóle potrzebne. Ten element zbytnio zaangażowanej dyskusji, pozbawia całość pewnego dystansu, niezbędnego dla tego rodzaju zarysu, prezentującego przecież duże historyczne wartości.

Kiedyś w swej powieści „U progu sztuki" tak o zamierzonych występach w tym mieście pisał Sewer (Ignacy Maciejowski): *„Do Przemyśla nie dopuszczą amatorzy, a gdybyśmy gwałtem zjechali, ogłodzą nas"...*

Autor „Fredreum" dodaje w tym miejscu od siebie: *A więc przeszkodą był wtedy silny zespół amatorski.*

Czy tylko wtedy?

PONIDZIE

TADEUSZ ANTONI MASŁOWIECKI

Szczecin

Miasto znajdziesz na dnie rzeki
jeśli staniesz na Wałach Chrobrego
krzyk mew niech ci będzie
[ostatnim uderzeniem miecza
tegoż króla

Rzeka silna prowadzi okręty do
[morza
rzeka twoja niesie płonące miasto
więc jeśli będziesz na Wałach
[Chrobrego nocą
to ta noc stać będzie za tobą
[płomienna
noc która jest żywym cieniem
[tegoż króla

Białystok

EDWARD JAROSZEWICZ

10 wieków

weźcie dziecko na rękę
urodzone tysiącletnie drzewo
i garść ziemi tej samej
i wciąż młode miasto

klepsydra czasu
rodzi wojów i kosynierów
panów i chłopów
gniew ziemi

weźcie bochen chleba
i sól wydartą z głębi
weźcie siebie na ręce
dwudziestoletnie

Białystok

ZBIGNIEW ŚLĄCZKA

w hejnał świtu

palce
oczy
oddechy
rozrzucamy

w porach lęku
zmrużenie nieba
odwieczny odruch
ofiarowania
to się spełnia
od czasów Noego
w przytuleniu pisklęcia
przymknięciu ciepłych powiek
pozdrawianiu mijających się

na rozdziobanie
przez inne palce
oczy
oddechy

Białystok

HENRYKA KOŚ

Zaproszenie

Wejdź do mnie złotorogi.

Pogawędzimy,
zanim uchwycą cię w kosmosie
w rozumu sieci.

Zostały nam wieczory jeszcze,
seanse umowne
wolnomularstwo księżyca.

Tych się na ilość świetlnych lat
nie liczy.

Chyba na przysiąg niedotrzymanie
na pocałunków ostygły ślad
na wirujący stolika dreszcz
na zaklęcie.

W gałęzi przysiądziesz
oswojony ptak
czarnej, jak węglem krecha.

Zawołam cię przymknięciem powiek
odpowiem
wstrzymaniem oddechu.

Radom

WALDEMAR MICHALSKI

ręce

ręce potrafią więcej
więcej się wsparłszy na dłonie
sięganiem długie
pragnieniem ciepłe
ręce jak kształty obce
odkrywają drogi
rozdzierają myśli
są stąpaniem ptasim
po białych bębnach skóry

ręce powiedzieć ręce
czym są one
jak dłonie
czym więcej
wspartych na papier
ostrych łokci
potrafią więcej...

Lublin

WOJCIECH KAWIŃSKI

Co widać?

Widzę was i widzę
gorący ciągle kamień miasta

powracamy do rzeki
i toniemy w pyle przenikliwym

Widzę was
daremnie walczących
o zielony brzeg i o gniazdo

za wydmą tańczy blask:
to miasto
zapala się z sykiem — i —
„wciąż otwarty jest czas"

Dębica

KAZIMIERZ EUGENIUSZ STESZUK

wiersz

snuć miłość
jak pająk pajęczynę
miłość człowieczą
nalewać w kielichy ludzkich serc
jak wino
to wielka rzecz
rzecz poety

wiersz
nie wiatrów granie puste
nie drzew milczenie
wiersz
to chleba krom
i ciepło serca

czasem jest chmurą
z której grom
uderza w nocy tarczę
to znów napełnia wnętrze domu
ciepłem
i światłem

Chełm

HENRYK PAJĄK

poemat o książce telefonicznej

sprasowano ich
ustawiono
czekają
ponumerowani
w rządkach

można ich
wezwać
ustawić
uświadomić
zawiadomić
o-, po-, wy-,
prze-, przy-,

czekają
gotowi
zwarci

czterocyfrowe duszyczki
przytupują z zimna
w oświęcimiu numerów

gigantyczny poemat
skrótu i przemilczenia
czytajcie

Lublin

RYSZARD MIERNIK

Ojcze

Plowiejesz jak świętokrzyski pasiak
Tkany z promieni słońca i gęstości ziemi
Nadzieje przetopiłeś w hutach
Pogubiłeś wśród kamieni
Prawo plowienia znają kobiety
Tłukące w wodzie twarze poprzedniczek
Dęby jesienią podobne są Tobie
Podobna ciepła jeszcze rękojeść topora

Barwy powstałe z Ciebie
Pozbieram
Na ostrzu poniosę
Gdzie kobiety wyprane są z cieni

BOGDAN PASTERNAK

Brzezina i las

Szukam w krajobrazie wspomnień
jak perlistego źródła w pustyni
spragniony wędrowiec
Widzę was słonecznie pogodnych
niczym złocisty owoc południa
dojrzały w ogrodzie
Czas zatarł znajome ślady
i nowe dał nam twarze
Przechodzimy obok siebie
z domysłem lub bez domysłu
jakby tamte lata były innych ludzi
Wracam w nieistniejący już krajobraz
niby do gaju białej brzeziny
z którą nie rosłem w dzisiejszy las.

ROMAN TOBOŁA

Z cyklu: Słoje czasu

Kształt mego ciała odciśnięty w wodzie
prysł niby cień ptaka w górskiej studni
Odkąd nie siebie ocalam ale moją pogodę
a także tarninę
z której wiją zarówno korony cierniowe
jak i gwiazdy ptakom
Nurt zostawiam w spokoju;
ktoś doń przyjdzie
strąci kamień beztrosko
a na tym miejscu
na podobnej trawie
każdą komórkę ciała zapamięta zachwyt
A moja
tamta Nida oswaja już chyba rafy koralowe
inne ryby poi
i poraża

Bogaci w kulturę?

(Dokończenie ze str. 1)

siejszym, powszednim, kultury Ziemi Kieleckiej. Wystąpił Wojewódzki konserwator zabytków, który przedstawił problem opieki nad zabytkami, ich ochrony. I były tu słowa wcale nie pocieszające. Wiele tych zabytków ma Kielecczyzna. I — wiele też z nimi kłopotu. Sypie się to wszystko, wymaga gwałtownie natychmiastowych zabiegów konserwacyjnych, odbudowy, remontu. A kasa wojewódzkiego konserwatora — szczupła, żadna wobec koniecznych wydatków. Stwierdzono więc na Sejmiku, że *„polepszenie stanu ochrony zabytków... zostanie osiągnięte poprzez oparcie się w coraz większym stopniu... na radach narodowych szczebla powiatowego, zwiększenie nakładów użytkowników obiektów zabytkowych na ich konserwację, właściwe społeczne zagospodarowanie i wykorzystanie zabytków oraz rozwinięcie profilaktycznej opieki nad zabytkami poprzez udział społeczeństwa, zwłaszcza organizacji młodzieżowych i towarzystw społecznych..."*

Stwierdzenie słuszne. Ale w praktyce, niestety, jest inaczej. Stary bodzentyński zamek jest dzisiaj rozbitym czerepem, pełnym wiszących kikutów murów. Wiadomo też, że znawca ruin mógłby obejść Bodzentyn i w murach domów szacownych jego obywateli odnaleźć... kamienie z zamczyska.

Owszem. Wiele zabytkowych budowli zajmują ich użytkownicy — gminne spółdzielnie, szkoły itp. Ale — w Czyżowie Szlacheckim szkoła, która wyprowadziła się do nowego przez państwo zafundowanego budynku, zostawiła starzyznę w stanie gorzej niż krytycznym. Nie wiem, czy znajdzie się teraz nowy użytkownik — frajer, który ciepłą ręką pokryje koszty uporządkowania tego, co pozostawiła szkoła.

W Kielecczyźnie nie ma ani jednego domu wczasowego FWP czy zakładowego. A koło Iwanisk stoi stary Krzyżtopór, w którym któraś z kieleckich fabryk mogłaby wystroić pensjonat o co najmniej stu pokojach. Byłby to przykład pięknego mecenatu naszych przemysłowych potentatów nad zabytkami przeszłości. Mecenatu, zresztą — nie platonicznego.

* * *

A skoro już o mecenatach i mecenasach mowa, to weźmy dalszą sprawę. Kieleckie środowisko plastyków staje się coraz bardziej ambitne, ciekawe. Ale jest to chyba jedyne w Polsce środowisko, którego twórcy... nie mają gdzie wystawiać swoich prac. Rozmawiam ze starszym wiekiem plastykiem, który ze łzą w oku pokazuje mi wycinek z gazety kieleckiej z lat trzydziestych. Zwykła gazetowa notatka o otwarciu wystawy czyichś tam obrazów, w... pawilonie wystawowym w okolicach parku. Przed wojną Kielce miały pawilon, a dziś nie mają go — sarka gorzko mój znajomy.

Plastycy więc wystawiają gdzie mogą — w hallu teatru, w jego oknach, w klubie MPiK, w „saloniku pana Wincentego Kopały" przy „Chemiplastyce".

Pawilon kosztowałby 6 milionów złotych. Zarząd Okręgu ZPAP montuje mozolnie społeczny komitet budowy pawilonu. ale, widzę, że idzie im to, jak po grudzie, wszyscy mówią tak, oczywiście, zgadzamy się na nasz udział, chętnie, ale — nikt z pieniędzmi nie śpieszy.

Pamiętam, swego czasu Rada Narodowa Łodzi uchwaliła przyznać dość pokaźną sumę pieniędzy na zakup obrazów łódzkich plastyków. A oprócz niej — dyrektor każdej fabryki włókienniczej poczytywał sobie za punkt ambicji kupno obrazu — choćby nawet do swego gabinetu.

Próbowałem kiedyś przenieść te dobre formy mecenatu nad twórczością plastyczną — do nas. Jedynie tylko wierzbicka cementownia wykazała szlachetne zrozumienie i zaprosiła na dość długi plener młodego kieleckiego wówczas plastyka, Marka Rutkowskiego. Zakupując oczywiście, wszystko, co namalował. Pojechaliśmy z p. Adolfem Wajncettlem do ostrowieckiej huty. Tam — wszyscy, owszem. chętnie. Ale — gdy przyszło, co do czego, chętni do wydania decyzji, do podpisania umowy — znikli.

Nie cenimy naszych kieleckich „matejków", ani „picassów". A tymczasem oni...

Trwa w tej chwili w Carrarze we Włoszech — Międzynarodowe Biennale Plastyki. I wystawiają tam Polacy. Kto oni? Zbigniew Kurkowski, Antoni Bielecki, Irena Grodzicka-Janowska, Krzysztof Jackowski... Wszyscy z Kielc! Ci Polacy wzbudzają wielkie zainteresowanie międzynarodowych koneserów.

Festiwal w Sopocie. Malarstwo współczesne. Plastycy wszystkich województw. Różni też wojewódzcy mecenasi zjeżdżają się. Z rad narodowych, z bogatych instytucji, z przemysłu. I zrozumiałe, że kupują obrazy... swoich wojewódzkich, bydgoskich, krakowskich, gdańskich mistrzów palety. Znikają też dość widocznie te obrazy. Tylko nasze, kieleckie, wiszą, coraz bardziej samotnieją. Bo też nikt z Kieleckiej Ziemi po nie się nie kwapi. Jeśli ktoś do Sopotu zbłądzi, to... na plażę, do Grand Hotelu...

Słychać teraz, że dwaj kieleccy twórcy — plastyk i rzeźbiarz — przedstawieni zostali do miejskiej nagrody. Może to dlatego, że sopocką samotność naszych plastyków i brak popytu oglądał kiedyś wiceprzewodniczący Prezydium MRN mgr B. Mraka i prezeska Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych p. Barbara Modrzejewska.

* * *

Nie chciałbym nie znać proporcji w tym opisywaniu kulturowych spraw Kielecczyzny. Nie chciałbym, aby w tym opisywaniu wszystko wyszło na czarno. Bo tak przecież nie jest. Bo i na kulturalnym sejmiku wiele „wypracowało się" nowych ustaleń, postanowień, które wzbogacą, ulepszą kierowanie kulturą. Te postanowienia np. w kwestii ochrony zabytków są bardzo konkretne. Wiadomo więc, że ruszą wreszcie roboty nad zagospodarowaniem rezerwatu — neolitycznej kopalni w Krzemionkach Opatowskich. Że zaczną się roboty na sandomierskim zamku. Że uporządkuje się wreszcie zegarowe muzeum Przypkowskich w Jędrzejowie. Że kolegiata wiślicka, że Krzyżtopór, że ariański zbór w Wodzisławiu, Chęciny, Iłża, Bodzentyn. Osobny całkiem rozdział stanowią skanseny starożytnej techniki hutniczej w Nowej Słupi i nowszej w Maleńcu, Sielpi, Samsonowie, Starachowicach, Białogonie.

I w końcu jednak — wiele ciekawych rzeczy dzieje się w życiu kulturalnym Kielecczyzny. Jest tutaj wiele społecznych towarzystw kulturalnych, są młodzi poeci „Ponidzia", młodzi pisarze, prężne i ambitne środowisko dziennikarzy, ciekawy teatr. Prawda tylko, że praca ludzi, ich twórczy wysiłek, z najszlachetniejszych rodzący się pasji, nie zawsze spotyka się ze zrozumieniem władzy, wszelkiej zwierzchności. Odnosi się aż wrażenie, jakby dla wielu sprawy kultury, ta piękna strona ludzkiego życia, była całkowicie obca, obojętna. Na miły Bóg, dyrektor dużej fabryki, zapatrzony w plan, w wykresy i wskaźniki, nie chce widzieć u siebie w gabinecie dobrego obrazu, choćby nawet jakiegoś op-artu. Nawet ze snobizmu. Dobry byłby taki dyrektorski snobizm. Smutno się robi na duszy, gdy widownia teatru świeci golizną, bo nie ma na niej robotników, pracowników fabryk, urzędów. Już nie chodzi nawet o to, żeby dyrektor czy rada zakładowa fundowały im te bilety...

* * *

O kłopotach plastyków z ich pawilonem już wiemy. Ale i oni, i aktorzy, i ludzie z innych kulturalnych branż — inne mają kłopoty. Nie mniej dotkliwe, własne, prywatne. Nie znam wypadku, aby któryś z plastyków otrzymał mieszkanie, do tego broń Boże z pracownią. Znam kieleckich aktorów i wiem, że wszyscy oni, a w każdym razie większość — mieszkają w budynku teatru, na zapchanym i zagraconym jego zapleczu w warunkach podrzędnego hoteliku. I myślę, że z tego chyba powodu odeszli z Kielc, do Krakowa podobno — Nina Skołuba i Jerzy Szmidt, aktorzy, z którymi w Kielcach wiązaliśmy najlepsze nadzieje.

Coś tutaj jednym słowem w kulturalnych sprawach Kielecczyzny nie gra. Wiele rzeczy nie gra. I nie ma nic, co by trzeba było owijać w bawełnę. Gorzko mówiliśmy o wielu sprawach na naszym wojewódzkim Sejmiku Kulturalnym, gorzko trzeba mówić w obliczu Kongresu Kultury Polskiej. Prawda, cieszymy się, że powołaliśmy (na tym Sejmiku) Fundusz Rozwoju Kultury, choć wielu nas zapewne dręczy pierwsze zdanie uchwały, stwierdzające, że Fundusz tworzy się *„celem zapewnienia szybkiego rozwoju kultury na terenie województwa kieleckiego"*.

Ale niepokoi to, że — nie powstają jakieś takie powiatowe i miejskie, lokalne fundusze rozwoju kultury, które przecież we wszystkich Staszowach, Lipskach i Zwoleniach — gromadziłyby *„z dobrowolnych świadczeń pieniężnych ze strony stowarzyszeń, organizacji społecznych i innych organizacji spółdzielczych, zakładów pracy, przedsiębiorstw państwowych jak też instytucji gospodarki nieuspołecznionej oraz indywidualnych dobrowolnych świadczeń pieniężnych osób fizycznych"* — własne środki na własne, powiatowe, lokalne cele kulturalne. Można sobie wyobrazić, że Powiatowy Fundusz Rozwoju Kultury w Staszowie ze swych pieniędzy wspomagałby działalność ruchliwego Klubu Miłośników Ziemi Staszowskiej. A jeżeli to większe jakieś pieniądze, to kto wie — dołożyć by je można do odbudowy Szydłowa!

Ale dobre i to — powstał wojewódzki Fundusz Rozwoju Kultury. W Kielecczyźnie wiążemy z nim duże nadzieje. Nie czas jeszcze na stwierdzenie, czy psioczyć na niego wypadnie, czy chwalić go.

* * *

Prezydium kieleckiej Miejskiej Rady uchwaliło wreszcie przyznanie dorocznych nagród i wyróżnień dla twórców kieleckich. A więc — literatura, publicystyka, muzyka, plastyka, artystyczna fotografia, teatr, film, architektura i ochrona zabytków. To już jest coś, jakiś dobry, potrzebny mecenat, który dawno już uprawia Radom, a powinny uprawiać — Ostrowiec, Skarżysko — zresztą mecenasów nigdy nie nadmiar. Nawet — gdyby zjawili się mecenasi — z mieszkaniem dla aktora, muzyka, plastyka...

Mówimy sobie to od dawna. Nie jesteśmy województwem, jakie było. Bogaci w przemysł, coraz silniejsi, bardziej racjonalni w gospodarce rolnej. Nasz przemysł rośnie. Nie pora jeszcze o tym mówić, ale kto wie, za lat ileś — małe dziś Staszowy, Sandomierze — wyrosnąć mogą do miary przemysłowych, a więc i miejskich kolosów. Chcemy, aby z tym rosło, rozwijało się nasze życie kulturalne.

Tadeusz Bartosz

UDANY SKOK

ALEKSANDER OMILJANOWICZ

Niniejszy fragment został zaczerpnięty z nowej powieści sensacyjno-szpiegowskiej, której akcja rozgrywa się w czasie wojny w byłym pałacu carskim w Białowieży, gdzie miał swoją siedzibę sztab wywiadu Luftwaffe i jedna z central Abwehry.

BYŁO to późnym latem 1941 roku. Pancerne armie hitlerowskie, upojone pierwszymi sukcesami — parły na Moskwę. Wojna zbliżała się do swojego szczytu. Pewnej nocy z polowego lotniska pod Moskwą wystartowały do bojowego zadania trzy eskadry bombowców. Wśród nich leciał samolot o specjalnym przeznaczeniu. W jego ciasnej kabinie siedział samotny człowiek objuczony dwoma spadochronami, bronią i pojemnikiem z wyposażeniem.

Tylko nieliczni wtajemniczeni znali jego prawdziwe nazwisko i to, że był z pochodzenia Polakiem — białostoczaninem. W wywiadzie zwał się wówczas leutnant Stanger i pod tym nazwiskiem udawał się w niebezpieczną misję na tyły wroga. Celem jego było przeniknięcie do sztabu wywiadu Luftwaffe. Sztab ten Georing ulokował w starym pałacu carskim w Białowieży. Ale zanim Stanger osiągnął Białowieżę, w jego powietrznej podróży zaszły dramatyczne wydarzenia.

*

Znowu rozszczekała się artyleria przeciwlotnicza. Gdzieś w dole musiały być wojskowe obiekty. W niebo waliły baterie artylerii, a słupy świateł reflektorów gęsto jak częstokół podpierały niebo. Po poszyciu kabiny i skrzydłach zabrzęczały odłamki. Samolot z szaleńczymi unikami wyrywał w górę, walił się w dół, w bok. Lecz w tej sekundzie fala oślepiającego światła zalała kabinę. Dwa reflektory złapały samolot w swoje macki. Tuż obok grzmotnęły wybuchy. Pilot przewalił samolot na skrzydło i poszedł piką w dół. Nie mógł jednak oswobodzić się z piekielnych macek reflektorów.

Głuszący wszystko huk napełniał kabinę. Stanger oszołomiony na chwilę poczuł swąd spaleniny i dym. Zanim uprzytomnił sobie, że samolot siłą bezwładności wali w dół, nawigator wypełzł z kabiny, krzycząc:

— Trafili! Prawy silnik... Skrzydło... Skacz!

Stanger błyskawicznie dopiął hełm lotniczy, nasunął okulary na oczy, poprawił szelki spadochronów i doczołgał się do luku. Samolot objęty płomieniami, buchającymi z prawego skrzydła, walił się ku ziemi rozświetlonej reflektorami i salwami artylerii.

Chwilę mocował się w zamkniętym luku. Ustąpił z trudem. Wicher smagnął go swoim podmuchem. Przekoziołkował na plecy. Wykonał kilka ruchów i obrócił ciało twarzą ku ziemi. Szybkość opadania zmąciła mu myśli, zaparła oddech. Był jeszcze wysoko. Prawą rękę trzymał na uchwycie spadochronów. Ale nie otwierał ich. Na tej wysokości łatwo mogły go wymacać reflektory.

Liczył sekundy. Ziemia zdawała się być tuż. Instynkt samozachowawczy krzyczał w nim, żeby otwierał spadochrony, że się roztrzaska... Pęd powietrza szarpnął kombinezon, przytroczony pojemnik, hełm, zrywał z oczu okulary. Mgliście widział zarysy ziemi.

Wytrzymał jeszcze kilkanaście sekund. Szarpnął uchwyt. Wystrzeliły czasze dwóch spadochronów i poderwało go w górę. Poprawił się w uprzęży. Teraz już spokojnie mógł spojrzeć na to, co widać na ziemi. Stanowiska artylerii i reflektorów oddalały się w tył. Widział również trzy pulsujące płomienie. To dopalały się zestrzelone samoloty. Jaka to była miejscowość — nie wiedział. Nie wiedział również, czy załoga jego samolotu się uratowała. Myślał już tylko o tym, co czeka go tam, w dole.

Wytężył uwagę. Dostrzegł narastające w oczach zarysy drzew i domów. Pomacał kaburę. Pistolet tkwił na miejscu. Szmejser był przytroczony do piersi, a sześć magazynków wisiało w specjalnej torbie u pasa.

Spadał na drzewa jakiegoś ogrodu. Manewrował linkami, ale rozłożyste konary drzewa zbliżały się nieubłaganie. Podkurczył nogi i zasłonił twarz rękami.

Smagnęły go gałęzie. Trzask rozdzieranego jedwabiu, łamanych gałęzi, tępy ból w prawym boku. Zawisł niemal twarzą do ziemi. Szamotał się, by oswobodzić nogi z linek i gałęzi. W głowie dudniła mu krew. Z trudem dobył nóż, przeciął linki spadochronów i zwalił się na ziemię. Gdzieś, tuż obok z ulicy, doszedł go warkot samochodu i głosy. Kilka rakiet przecięło niebo. Zerwał uprząż spadochronów, hełm, okulary. Odpiął szmejser i zamocował w uchwycie magazynek.

Pobiegł ogrodem w stronę widniejących zarośli. Ciążył mu pojemnik. Nie chciał go rzucić — chyba w ostateczności. W nim miał to, co było niezbędne do wykonania tajnej misji w Białowieży.

Trafił na żywopłot. Za nim była ulica, z której również dochodził gwar głosów i tupot nóg. Czuł się osaczony. Nie wiedział, w którą stronę uciekać, skąd zaatakuje wróg, a przede wszystkim, czy gdzieś w pobliżu jest las? W świetle rakiet widział tylko wokół domy, drzewa, ogrody.

W żywopłocie przywarował na chwilę. Był on rzadki i dawał nikłe szanse ukrycia. Pojemnik przytroczył na plecy.

Od drzewa, na którym zostały jego spadochrony, doszedł go gwar głosów i skowyt psa. Teraz dostrzegł ich...

Błyskając latarkami mknęli szeroką ławą przez ogród. Przed nimi, wysforowawszy się na kilkanaście metrów, biegł jakiś mężczyzna z psem na lince. Wilczur skowycząc prowadził jego śladem na żywopłot.

Kciukiem przesunął dźwignię szmejsera na ogień ciągły. Przywarł do ziemi i myśliwskim wyczuciem łowił końcem lufy tego, który biegł z psem. Starał się panować nad podnieceniem, drżeniem rąk. Zrozumiał, że wpadł w potrzask, ale bez walki się nie podda.

Ścigający przystanęli na chwilę, jak gdyby zawahali się przed skokiem na żywopłot.

Nacisnął cyngiel. Szmejser kopnął go lekko w ramię. Zakotłowało się wśród nacierających.

Widział, że tego z psem ściął swoją serią, że pies także dostał, bo skowyt rannego zwierzęcia zmieszał się z głosami komendy i krzykiem rannych. Puścił jeszcze dwie krótkie serie i pod gradem kul, które siekały żywopłot, wypełzł na jego drugą stronę i chyłkiem pobiegł przed siebie.

Krzyki, słowa komendy zdawały się dochodzić go ze wszystkich stron.

Nad ogrodami bezustannie strzelały w niebo rakiety. Przeskoczył wąską uliczkę. Wpadł znowu w ogród, przebiegł go, okrążył dom, jakiś zaułek. Za sobą czuł pogoń. Puścił się zaułkiem wzdłuż wysokiego parkanu i dobiegł do jego końca.

Wyjrzał. Uliczka wydawała się pusta. „W którą stronę pójść? Gdzie są peryferie tego przeklętego miasta?" Zrobił kilka kroków, gdy tuż przed sobą spostrzegł dwóch żołnierzy. O cofnięciu się, o ucieczce nie było mowy.

— Halt! — krzyknął na nich. Chciał zatrzymać ich chociaż na kilka sekund i tym zyskać przewagę w ataku. Niemcy stanęli.

— Wo ist der Kommendant? — rzucił hardo. — Jeden do mnie!

Szmejser trzymał oparty o biodro. I w tej sekundzie, kiedy dostrzegł, że żołnierze podnoszą karabiny, pocisnął za spust. Długa seria, którą wypuścił „od biodra" do stojących o kilka kroków Niemców, zwaliła ich na ziemię. Zabici czy ranni — nie wiedział.

Bramką wbiegł na jakieś podwórko. Przebiegł obok chlewików. Potem minął jeszcze jakieś zabudowania. Przecinał wąskie uliczki, podwórka, ogrody. Był zlany potem, rozdygotany podnieceniem, walką, zapomniał o czasie, o nocy letniej, która szybko się kończyła, a z nią szansa jego wyjścia z matni, w którą wpadł.

Zatrzymał się na chwilę. Dudnienie krwi w skroniach i szum w uszach nie pozwalały dosłyszeć czy pogoń idzie jego tropem. Zmienił magazynek. Zrozumiał, że obława dotyczy nie tylko jego. Z zestrzelonych samolotów musiały wyskoczyć załogi. Dostrzeżono je i stąd ta olbrzymia obława.

Szedł teraz wolno, czujnie. Co chwila nadsłuchiwał. Przez sztachety płotu wyjrzał na ulicę. U jej wylotu, tyłem do niego, stał ciężarowy samochód. Przystanął niezdecydowany. Od samotnego wozu na pustej ulicy nie dochodził żaden odgłos. I wtedy jak olśnienie strzelił mu do głowy brawurowy pomysł. Ryzyko było ogromne, ale tylko ten chwyt mógł go ocalić. Gdzieś z tyłu, z labiryntu uliczek, znowu podniosła się gęsta strzelanina i rakiety.

Stanger wspiął się błyskawicznie na płot i zwinnie jak kot zeskoczył na ulicę. Zdawało mu się, że nawet czubkami butów nie dotykał ziemi. Szmejser drżał mu w dłoniach. Ciężarówka była tuż. Widział wyraźnie jej ciemną plandekę, koła, a nawet numer.

Naraz drgnął. W szoferce ktoś zakaszlał.

— „Jeżeli kierowca, to siedzi z lewej strony... Drzwi tych wozów nie są ryglowane z zewnątrz. A jeżeli są zaryglowane?" — przebiegło mu przez myśl. — „Lufą w okno i albo, albo..."

Nieomal otarł się o bok wozu, wskoczył na stopień, szarpnął drzwi i w ułamku sekundy objął wzrokiem sytuację.

— Cicho... Jedno słowo — Todt — śmierć... — wysyczał przez zaciśnięte zęby, przyciskając lufę szmejsera do boku zaskoczonego żołnierza.

Przestraszony Niemiec uniósł ręce. Stanger zatrzasnął drzwi, przyciągnął do siebie karabin Niemca oparty o siedzenie i trzymając lufę szmejsera wbitą w bok żołnierza, rzucał krótkie, zdławione rozkazy.

— Włączaj motor... Jedno słowo, jeden niepotrzebny sygnał klaksonem czy światłami... Śmierć... Ruszaj!

Zajazgotał rozrusznik. Motor zaskoczył.

— Jakie to miasto?

— Prużana — dzwoniąc zębami odparł Niemiec.

— Najkrótszą drogą wyjedziesz za miasto w kierunku Białowieży. Jeżeli wpakujesz się gdzieś na zasadzkę — ty pierwszy zginiesz...

— Jawohl Herr...

— Pędź! Pędź!! Do puszczy...

Kątem oka zerknął na Niemca, a zarazem obserwował ulicę, na którą wtoczył się wóz. Była pusta. Rakiety rzucano gdzieś z prawa.

— Każdy wylot z miasta jest strzeżony... Posterunki i szlaban... — wymamrotał Niemiec.

— Jak daleko stąd do posterunku, który strzeże szosy do puszczy?

— Około kilometra.

— Pędź! Pędź! — szturchnął go lufą szmejsera w bok.

Wóz gnał podskakując na wyboistym bruku. Minęli jeden patrol. Nie zwrócił na nich uwagi. Dojechali do jakiejś głównej ulicy. Tu częściej spotykali żołnierzy. Niektóre patrole zatrzymywały się i patrzyły na pędzący z olbrzymią szybkością wóz ze znakami Wehrmachtu. Mijali je w szalonym pędzie i na razie nikt ich nie zatrzymywał.

— Trzysta metrów przed nami wacha i szlaban — wyszeptał znowu Niemiec.

— Każdy wóz kontrolują?

— Jawohl Herr...

— Szlaban jaki?

— Drąg.

— Gaz do końca. Rozwalisz szlaban. Jeżeli zwolnisz, strzelę ci w łeb i pojadę sam.

Motor wył całą siłą mocy. Fosforyzująca strzałka szybkościomierza oscylowała koło setki. Samochodem piekielnie rzucało. Zdawało się, że wóz rozpadnie się, że jeszcze metr — dwa, a runie na przyuliczne drzewa i rozwali się w drzazgi.

Stanger dostrzegł czerwone światło szlabanu i smugę światła padającą z uchylonych drzwi wartowniczej budki.

— Gaz! Gaz! — przynaglał Niemca, chociaż wiedział, że ten wycisnął z motoru całą moc.

Wartownicy zauważyli wóz. Zamigotały sygnały świetlne — „stać".

— „Jeżeli przedwcześnie nie zorientują się, jeżeli nie wsadzą serii w motor lub koła... szlaban pójdzie w drzazgi i miasto będzie za mną. Tam mnie nie wezmą..."

Jakaś sylwetka oderwała się od budki wartowniczej i błyskając czerwonym światłem latarki wybiegła na środek jezdni.

— Wal! Gaz! Nie patrz na nic! — wychrypiał drżącym głosem. Zdawało się mu, że szmejser zgniecie w swoich mocarnych dłoniach, a lufę jego wbije Niemcowi między żebra.

Budka, szlaban, czerwone światło, sylwetka człowieka z latarką na jezdni — wszystko to narastało w oczach, było tuż.

— „Raz, dwa, trzy, pięć..." — policzył mimo woli. W ryk motoru wwiercił się przeraźliwy krzyk żołnierza na jezdni. Widocznie w ostatniej chwili zrozumiał, że samochód nie zatrzyma się, a on nie ujdzie spod jego kół.

Głuche uderzenie zderzaka i człowiek, który starał się uciec z jezdni, zniknął pod kołami rozszalałego w pędzie wozu. Drugie potężne uderzenie... Szlaban trzasnął jak zapałka. Wóz z rozwalonym reflektorem i błotnikiem zarzuciło nieomal do rowu. Walnął bokiem w drzewo, ale Niemiec w ostatniej chwili wyrównał.

Stanger usłyszał strzały stłumione warkotem motoru. Niemiec odruchowo przycisnął brodę nieomal do kierownicy. Stanger także machinalnie wcisnął głowę w ramiona.

Pierwsza kula łupnęła w deski skrzyni. Druga jękiem rykoszetów odbitych od żelaza, zaświegotała po podwoziu.

— Starają się dranie trafić w opony... syknął przez zaciśnięte zęby.

— Was? — spytał Niemiec.

— Schnell! Schnell! — krzyknął już mniej groźnie.

Poczuł się z tym żołnierzem związany, złączony w jakiś szczególny sposób, bo obaj uchodzili śmierci. Tylko każdy na inny sposób. I każdy z nich inaczej myślał o tym...

Spojrzał teraz inaczej na tego, z którym go na chwilę związał los. W nikłym świetle sączącym się od tablicy przyrządów widział zaciśnięte na kierownicy ręce, brudnoniebieski mundur żołnierza Wehrmachtu, garnczasty hełm na głowie, spod którego dopiero teraz dostrzegł spływające po czole i nalanej twarzy krople potu.

— Hast du Angst? — spytał nie zmieniając pozycji i nie odrywając szmejsera od boku Niemca.

— Jawohl, Herr...

Wóz gnał. — „Wydaje mi się fantazja, że na razie wyszedłem z tego cało. Telefony już na pewno poszły w ruch. Pogoń rozpoczęli. W lesie skręcę na boczną drogę, aby jak najdalej od głównego traktu..." — zbierał rozbiegłe myśli.

— Motocykl z tyłu za nami... — Urywanymi słowami wyszeptał Niemiec.

Stanger nie mógł tego dostrzec, ale szofer zauważył światło motocykla w bocznym lusterku. Uniósł się i spojrzał w szybkę nad siedzeniem.

Daleko za nimi pędził motocykl. Nieosłonięty reflektor rozchybotaną długą smugę kładł na szosie i przydrożnych drzewach. Zerknął na licznik. Dziewięćdziesiąt kilometrów. A więc motocykl dopędzi ich. Uśmiechnął się błogo w duchu jak myśliwy, który wie, że zwierzyna idzie mu na pewny strzał.

— Ile do lasu?

— Dziesięć kilometrów.

— Dopędzą nas?

— To beemwu. Dopędzą...

— Jak ci na imię?

— Helmut.

— Słuchaj Helmut, jeżeli im umkniesz — daruję ci życie.

— O, Herr...

— Milcz i gnaj.

Stanger sięgnął ręką do karabinu Niemca, wyjął zamek i wsunął go do kieszeni kombinezonu.

Przytknął znowu nos do szybki. Światło motocykla przybliżało się. Dosłyszał sygnał.

— „O, durnie — zachichotał w myślach — trąbią żebyśmy stanęli..."

Ocenił wzrokiem odległość. — „Jeszcze daleko... Cel jest ruchomy... Wóz szatańsko trzęsie. Chybię..." — Nie dokończył tej myśli, bo w deski skrzyni i podwozie uderzyły pierwsze kule. — „Z empi — ocenił. — A więc doniosło. Trafili. Cel nasz duży i łatwo trafić..."

Przyklęknął na siedzeniu, lufę wbił w okienko, chwilę łowił na muszkę rozchybotane światło motocykla. Nacisnął cyngiel raz, drugi, trzeci. Śledził wzrokiem świetliste smugi pocisków. O szybę zagudniły wystrzelone łuski. W szoferce zapachniało prochem.

— Chybiłem, chybiłem — syknął przez zaciśnięte zęby. Wyszarpnął pusty magazynek.

— Jedź wolniej! — Wrzasnął na kierowcę. Wóz zwolnił.

— Teraz. Raz, dwa, trzy — odliczył sekundami pierwszą serię. Nic. Jeszcze raz.

— Jest! Dostał! Nareszcie! — krzyknął. Widział, jak światło reflektora zakreśliło łuk, przygięło się do ziemi i zgasło po lewej stronie w rowie.

— Gut Helmut — w szale radości poklepał Niemca po ramieniu. — Pędź dalej!

Ciemną wstęgą odznaczył się od horyzontu las. Gdzieś w prawo od szosy niebo przybierało jaśniejszą barwę zwiastując świt. Dopiero teraz mógł spojrzeć na zegarek. Było wpół do trzeciej. Poczuł pragnienie i nieprzepartą chęć zaciągnięcia się dymem papierosa. Odegnał te myśli od siebie, bo jego pierwsze starcie nie było jeszcze zakończone.

Odkręcił szybę w drzwiach. Świeży powiew powietrza uderzył go w twarz. Poczuł oddech lasu i zapach letniego poranka. Wpadli między pierwsze drzewa boru. Na szosie wśród lasu mrok jeszcze leżał gęsty i przesycony poranną mgiełką. Postanowił rozstać się z Niemcem.

— Twój wóz brał udział w obławie?

— Tak jest.

— Na kogo?

— Nasza artyleria przeciwlotnicza i myśliwce zestrzeliły trzy rosyjskie samoloty. Widać było kilku skoczków jak opadali na spadochronach. I na nich była obława.

— Zatrzymaj wóz.

Niemiec ostro zahamował. Stanger zrewidował mu kieszenie.

— Wysiadaj. No już, na co czekasz? — Szturchnął go lufą, widząc, że ten się ociąga.

— Boję się... Mam żonę, dzieci...

— My w plecy nie strzelamy jak wy, mordercy. Tym razem daruję ci życie. Ale gdy następnym razem się spotkamy... Teraz uciekaj.

— Danke.

— I jeszcze jedno. Ciebie i tak rozwali gestapo. Na pewno. Jeżeli masz rozum, wiej do partyzantki. Tu wszędzie na nich trafisz...

Niemiec wyskoczył z szoferki.

— A jeżeli wrócisz do miasta, opowiedz jak było. Jestem zwykłym bandytą. Byłem na rabunku w mieście. Wpadłem na obławę. Resztę widziałeś.

Zatrzasnął drzwi, wycisnął sprzęgło, wrzucił bieg i wóz zerwał z miejsca. W bocznym lusterku widział jeszcze przez chwilę samotnego Niemca stojącego na środku szosy. Kilometr dalej za ostrym zakrętem szosy odbiegał w las wyjeżdżony gościniec. Stanger skręcił na niego. Droga była wyboista, pełna dziur, kamieni.

— „Jeżeli natknę się na partyzancką zasadzkę, nie będą pytać, kto jedzie..." — I zlepione potem włosy zjeżyły mu się na głowie. — „Uratowałem się z zestrzelonego samolotu, nie złamałem karku na drzewie, uszedłem pogoni, a teraz miałbym od kuli swoich...?" Ciarki przeszły go po grzbiecie.

Z trudem prowadził wóz. Co chwila zerkał na licznik, ale kilometrów przybywało powoli, tylko temperatura wody podniosła się do stu stopni. Od szosy uciekał niedaleko. Gościniec rozszczepił się na liczne drogi. Wybrał najmniej zjeżdżoną i tam skręcił. Plandekę wozu rwały gałęzie, zahaczał o sęki, drzewa — olbrzymy. Motor rzęził ostatkiem sił. Droga schodziła do parowu. Wybrał przejazd między drzewami i uciekał jeszcze kilkadziesiąt metrów. Koniec. Wóz stanął. Wyskoczył z kabiny, uniósł maskę, zapalił kawałek gazety znalezionej w szoferce i rzucił na pulsujący ciepłem silnik. Liznęły go płomienie.

Ze szmejserem przewieszonym przez ramię, zataczając się jak pijany, przedzierał się przez gęsty młodniak, sypiąc za sobą specjalny proszek, by psy nie podjęły śladu. Kluczył tak jeszcze kilka godzin w puszczańskim ostępie, aż nareszcie poczuł, że to kres jego możliwości. Wśród gęstych, młodych świerków znalazł ustronne miejsce. Zrzucił z pleców zasobnik, odpiął pas, ściągnął kombinezon. Zdawało się, że dopiero wtedy dostrzegł, iż słońce wyszło nad las, że jest już dzień.

Usiadł. Czuł się wewnętrznie pusty, wydrążony i wyczerpany. W ustach miał smak żółci. Przymknął oczy i zwidziało mu się, że ten sen, że to niemożliwe, by w ciągu kilku godzin przeżyć tyle, co mogło wystarczyć na parę słabszych życiorysów. Dotknął trawy. Była przyjemnie zmoczona rosą...

Rozmowę z Aleksandrem Omiljanowiczem drukujemy na str. 11.

W 60 rocznicę śmierci Hieronima Łopacińskiego

SZLACHETNA PASJA

KAZIMIERZ JANCZYKOWSKI

BYŁO to 65 lat temu. Spędzałem wtedy wakacje w Krzczonowie u swego wuja Tomasza Stachowicza. Odpoczywałem, bawiłem się z kilkunastoletnimi rówieśnikami, czasami pomagałem przy żniwach.

Pewnego sierpniowego dnia, kiedy po załadowaniu wozu pszenicą czekaliśmy na starego Robaka — woźnicę, zdarzył się drobny wypadek, który przecież do dziś pamiętam. Ktoś krzyknął: „Popatrzta ino, od Olszanki posuwa się ku nam jakowaś biała kula". Odwróciłem się zaciekawiony i zobaczyłem w oddali poruszającą się zwolna białą „zagadkę", która po kilku minutach przybrała realne kształty. Był to tęgi mężczyzna, średniego wzrostu, w białym lnianym płaszczu, na głowie miał lekki kapelusz, a nad nim duży biały parasol, chroniący od słońca; prawe ramię oplatał mu rzemień, utrzymujący pakowny sakwojaż. Siedząc na szczycie piramidalnego wozu, wlepiłem oczy w zagadkową postać i... nie wierzyłem sam sobie. Tak! to był Hiruś! Przecież ten sam dobroduszny uśmiech na pulchnych policzkach, ta sama kręcona broda. Zsunąłem się z wozu i jak strzała pobiegłem na spotkanie niespodziewanego gościa. W pewnej odległości od przybysza zatrzymałem się, szurnąłem szarmancko nogami po ściernisku i krzyknąłem pełną piersią: „Salve! carissime magister!" A on podszedł do mnie, uśmiechnął się z zadowoleniem i podając mi rękę powiedział: „Salve, bone puer!"

Tak, to był prawdziwy Hiruś, w całej okazałości „mąż grecko-łaciński pan Hieronim Łopaciński"! Stałem oszołomiony i dumny z zaszczytu, ąlbowiem obok mnie zatrzymał się nasz wychowawca, opiekun klasy III, równocześnie profesor łaciny i greki.

— Co tu robisz, chłopcze? — zapytał Hiruś. (Był to przydomek pod jakim znali go wszyscy uczniowie — od 1884 r. aż do ostatnich dni jego pięknego życia.) Wyjaśniłem profesorowi, że jestem na wakacjach u wujka.

— Od dzisiaj przez trzy dni pozostaniesz ze mną — oświadczył. — Odwiedzimy kilka strychów i dworów. Oczywiście, jeśli wuj ci pozwoli.

Nakreślony przez profesora plan został wykonany. Zauważyłem, że Łopacińskiego interesowały najbardziej książki, zwłaszcza starodruki, a nawet same ich okładki, rękopisy, zagadkowe dla mnie wówczas znaki na drewnianych przedmiotach i numizmaty. Prowadziłem go do wielu poważnych gospodarzy, wskazanych uprzednio przez proboszcza. Tak więc odwiedziliśmy pana Honorego, krzczonowskiego eskulapa Witkowskiego, nauczyciela (?) Kuczyńskiego, wójta i Wróblów, Hotyńskich, Szpoców, i paru innych gospodarzy. Przez cały czas naszej wędrówki podziwiałem z jaką zręcznością uwijał się Łopaciński po tych wszystkich strychach, dzwonnicach, zakrystiach i magazynach; ważył wtedy niemało.

Kiedy trzeciego dnia, po wizycie w krzczonowskim dworze, żegnałem się z Hirusiem, wychowawca poklepał mnie po ramieniu i podziękował za pomoc. — Będziesz mi pomagał w Lublinie, znajdę dla ciebie robotę w swojej pracowni.

Zdobyte w Krzczonowie materiały zostały złożone w plebanii skąd miejscowy proboszcz ks. Wojciech Więckowski miał je odesłać do Lublina na ulicę Gubernatorską, gdzie mieszkał profesor.

Kiedy dzisiaj z perspektywy lat ponad 60 przypominam sobie przygodę krzczonowską oraz inne do niej podobne, dochodzę do wniosku, że osobowość Łopacińskiego wywarła ogromny wpływ na moją (i niektórych moich kolegów) indywidualność, moje upodobania i zainteresowania; od 1918 r. stałem się zapalonym zbieraczem zabytków rodzimej kultury i muzeologiem, naśladując wiernie swojego ukochanego mistrza Hieronima Łopacińskiego.

*

Karnawał w Lublinie tamtego roku był huczny i roztańczony. Wszystkie sale zabawowe w mieście cieszyły się powodzeniem, a z ich głębi dochodziły melodie modnego wówczas walczyka „Francois". Semadeni, Pęczalski, Chmielewski uskarżali się tylko na nadmiar gości, objadających się pączkami. Dla wygody mieszkańców w czwartki, soboty i niedziele głównymi ulicami miasta przebiegali chłopcy, schludnie i ciepło ubrani, z koszykami, od których z daleka unosił się aromatyczny, cukierniczy zapach.

Profesor Łopaciński lubił karnawał z innych względów: korzystał tylko z zaproszeń dworów, w których przewidywał cenny księgozbiór. Tego właśnie roku pojechał do miejscowości odległej o 12 wiorst od Lublina.

Przy biesiadnych stołach, w obszernej jadalni starego modrzewiowego dworku, w niedzielę zapustną było gwarno i wesoło. Zaproszeni goście dopisali: zjechały się kuligi z własnymi kapelami i korowody w maskach. Humory poprawiły się i wmogły pod koniec zapustowej uczty. Profesor Łopaciński siedział na pierwszym miejscu, obok pani domu, nie używał gorącego krupniku, a wino próbował bardzo wstrzemięźliwie. Deklamował okolicznościową odę Horacego „Nunc est bibendum..." W odpowiedzi na to jakiś młody akademik, który pił krupnik po polsku, zawołał: „Panie profesorze, qui bibit, sanctus est", za co otrzymał huczne oklaski. Wtem w głębi sali, gdzie odbywały się tańce, stary kurantowy zegar wydzwonił dwunastą. Po sygnale rozległ się donośny głos wodzireja: „Ogłaszam taniec północny"! Młodzież zerwała się od stołów i wszyscy hurmem wpadli do sali tanecznej. Starsi panowie znaleźli zaciszny kącik, gdzie przy zielonym stoliku zagrali w ulubionego winta. Inni trochę drzemali w wygodnych fotelach, a byli i tacy, którym alkohol dał się we znaki, więc szukali orzeźwienia w przyległym parku.

Na taką właśnie spokojną chwilę, kiedy każdy był zajęty sobą, albo szukał dla siebie odpowiedniej grupy, czekał Hiruś. Cichutko wymknął się z jadalni, znalazł w garderobie swoje futro i bobrową czapkę, a przeszedłszy przez kancelarię dworską, wtargnął do sąsiedniego pokoju, w którym mieścił się księgozbiór. Znał wszystkie przejścia, wyjścia i rozkład pomieszczeń dworskith, ponieważ bywał tu niejednokrotnie, oceniając i segregując znajdujące się w bibliotece dzieła. Chciał się przekonać, czy te trzy białe kruki, a oprócz nich prawie dziesiątek pierwszorzędnych starodruków, znajdują się jeszcze na swoim miejscu. Zapalił świeczkę i podszedł do szafy. Były! Prędko otworzył okno wychodzące na werandę i jeszcze prędzej wyrzucił trzynaście zabytkowych starodruków. Sam przedostał się zapasowym, wąskim korytarzem obok poczekalni, a stąd wybiegł na okólnik gdzie stały sanie. Dobrnął do werandy spakował księgi do worka, który nosił na każdą wyprawę. Później wyruszył na wieś, zbudził znajomego gospodarza pana Kędziora i za 2 ruble srebrem pocwałował do Lublina.

10 lat po tym wypadku wybuchła I wojna światowa; stary modrzewiowy dworek wraz ze wszystkimi zabytkami i bogatym księgozbiorem stał się pastwą ognia. Ocalały jedynie białe kruki i rzadkie stare druki, które wywiózł Łopaciński w pamiętną noc zapustną 1904 r., miał zresztą początkowo święte przekonanie, że tylko je opracuje i zwróci.

Jako jeden z nielicznych żyjących dzisiaj wychowanków i uczniów, skreśliłem we wspomnieniach kilka obrazków z życia H. Łopacińskiego aby pokazać go nie tylko jako uczonego, ale i jako człowieka, biorącego udział w życiu młodzieży i społeczeństwa. Mogę to uczynić, ponieważ cieszyłem się u profesora zaufaniem, wobec czego powierzał mi niektóre prace i funkcje w swojej bibliotece. Pamiętam też dobrze dzień jego śmierci.

*

26 sierpnia 1906 r. profesor wracał z Dysa, dokąd poprzedniego dnia wyjechał, otrzymawszy zawiadomienie, że na belce kościelnego strychu znaleziono jakieś zagadkowe znaki. Nie wiadomo dlaczego w drodze powrotnej pojechał ulicą Misjonarską, podówczas niebrukowaną i wybolstą. Na ostrym zakręcie, pomiędzy przytułkiem starców i kalek a kurią biskupią, ogniste dworskie konie spłoszyły się i pocwałowały naprzód. Łopaciński wyleciał z bryczki i tak nieszczęśliwie uderzył w parkan, że połamał sobie dolne żebra, które porwały mu wnętrzności jamy brzusznej. Pomoc była natychmiastowa, niestety jednak w parę godzin później zakończył życie. Wieść o śmierci profesora H. Łopacińskiego lotem błyskawicy obiegła całe miasto. Zgon uczonego nastąpił nieoczekiwanie, w tragicznych okolicznościach: zginął w sile wieku, mając 45 lat.

Trzeba było pomyśleć, w jaki sposób uratować bezcenne skarby, cierpliwy trud całego życia uczonego i zabezpieczyć je od zniszczenia. Przecież księgozbiór zmarłego obejmował 11.775 tomów, nie licząc innych zabytków, aż do zwykłych szpargałów włącznie.

Nim zwłoki uczonego spoczęły w grobie, zebrało się grono osób w celu omówienia dalszego działania. Zawiązał się komitet w następującym składzie: prof. Adam Kryński, delegat z Krakowa, dr N. Biernacki, dr. K. Jaczewski, dr A. Jaworowski, dr W. Morzewski, dyrektor banku T. Piotrowski i dr H. Wierciński. Komitet zawarł umowę z rodziną zmarłego, której stosownie do oceny wartości księgozbioru miał spłacić ratami 5000 rubli w ciągu trzech lat. Według często wyrażanej za życia woli profesora, kilkanaście białych kruków zostało przekazanych Polskiej Akademii Umiejętności. Do podwawelskiego grodu Łopaciński żywił szczególny sentyment, dość często mówił nam, że gdy uzyska emeryturę, przeniesie się na stałe do Krakowa, tym bardziej, że proponowano mu tam katedrę języków starożytnych.

Komisja gubernialna w Lublinie, 25 marca 1907 roku zatwierdziła statut Towarzystwa, zaś 26 maja 1907 roku odbyło się pierwsze posiedzenie, na którym ukonstytuował się zarząd. W jego skład weszły te same osoby, które stanowiły komitet zaraz po zgonie uczonego, rozszerzony jeszcze przez kilku jego przyjaciół: dr E. Sachsa, pastora A. Schöneicha, przemysłowca J. Vettera oraz prezydenta Zaremby. Głównym zadaniem zarządu było zdobycie dużej liczby członków, spłacenie pierwszych rat oraz znalezienie i wydzierżawienie lokalu, odpowiedniego dla potrzeb biblioteki. Już w roku 1907 Towarzystwo spłaciło połowę należności, wystąpiły natomiast trudności lokalowe; władze zaborcze utrudniały polskiemu społeczeństwu wszelkie organizowanie placówek kulturalno-oświatowych. Odpowiednie pomieszczenie dla zbiorów znaleziono w końcu w gmachu Lubelskiego Towarzystwa Dobroczynności, po odremontowaniu i przeróbkach dawnego klasztoru dominikanów. Pozostała wreszcie jeszcze jedna bardzo ważna sprawa: trzeba było zająć się uporządkowaniem zbiorów, zrobić spis i skatalogować je. Tę żmudną pracę wziął na siebie dr Aleksander Jaworowski. Oddał on wielkie usługi Towarzystwu, będąc jego głównym motorem, opiekunem biblioteki i poświęcając pracy bibliotekarskiej wiele czasu wolnego od zajęć zawodowych. Dzięki niemu liczba członków szybko wzrosła od 122 (w 1908 r.) i do 304 (w 1910 r.), przybywało również książek z zapisów osób prywatnych; już w roku 1910 liczba dzieł wynosiła 14.903, a woluminów — 23.710. Dalsze wypadki historyczne nie zahamowały rozwoju dzieła poczętego przez H. Łopacińskiego ani też nie przyczyniły się do jego upadku. Dzisiejsza biblioteka posiada ponad 200 tys. tomów i ma przed sobą dalsze konkretne perspektywy rozwoju.

Łopaciński, zbierając i gromadząc przede wszystkim to, co wiązało się z rozwojem języka ojczystego, jego narzeczy i odmian, oraz innych języków, a zwłaszcza starożytnych, nie zdawał sobie sprawy, jak wspaniałą i pożyteczną tworzył instytucję. W tym czasie, kiedy zbieracz kładł podwaliny pod gmach biblioteki, nie miała ona dla Lublina większego znaczenia, może była nawet zaobszerna i za wielka dla tych 35 tys. Polaków, mieszkańców trybunalskiego grodu, który miał wtedy tylko 8-klasowe gimnazjum klasyczne męskie i 7-klasową pensję żeńską. Wprawdzie warunki te zmieniły się nieco na lepsze po rewolucji i strajku szkolnym w latach 1905—1907, powstały polskie szkoły prywatne, ale w dalszym ciągu były to przecież szkoły średnie.

Dzieło Łopacińskiego nabrało pełnej wymowy i właściwego znaczenia dopiero po odzyskaniu niepodległości, a zwłaszcza w okresie Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Współczesny Lublin jest miastem uniwersyteckim, jest miastem o licznych i różnorodnych szkołach zawodowych, pośrednich między szkołą wyższą i średnią, miastem, gdzie koncentrują się studia zaoczne, pedagogiczne i inne. Wpływy Lublina jako ośrodka naukowego i kulturalno-oświatowego sięgają bardzo daleko i oddziałują na młodzież kilku województw wschodnich.

Łopaciński zdawał sobie sprawę z tej dysproporcji, jaka zaistniała pomiędzy stosunkowo małymi wówczas potrzebami środowiska a jego rozległym księgozbiorem i zebranymi zabytkami. Wskazuje na to kilka posunięć profesora, m. in. decyzja przesłania wielu białych kruków do Akademii Umiejętności w Krakowie i chęć przeniesienia się i osiedlenia na stałe przy Uniwersytecie Jagiellońskim, co mogłoby stać się w 1909 r., w którym uczony przechodził na pełną emeryturę (1884—1909). Dziś ziściły się, wprawdzie pośmiertnie, marzenia Łopacińskiego; biblioteka spełnia służbę naukową w mieście uniwersyteckim.

---

5 - 12 października — Tydzień Książki Technicznej

Zapomniany splendor Zamościa

JERZY DOSTATNI

NIEWIELU jest już w Polsce znawców starego, dojrzałego wina. Należy do nich niewątpliwie Sztaudynger, który w swojej głośnej fraszce konkurencję dla wina widzi tylko w młodej, ale to bardzo młodej dziewczynie... Chełmska Wytwórnia Win przed kilku laty stała się głośna w całej Polsce z nowej, oryginalnej metody postarzania wina. Metoda jednak nie znalazła zbytniego uznania u prawdziwych smakoszów. Proponuję więc wypróbowanie innego przepisu, który przed 163 laty osobiście stosował w pobliskim Zamościu Bazyli Kukolnik — profesor fizyki, historii naturalnej i nauk ekonomicznych w Liceum Zamojskim:

„Po zlaniu na butelki wina, zalaniu i zatkaniu smołą, każ kopać dół w piwnicy głęboki na dwa, lub trzy łokcie im głębszy będzie dół, tem prędzej się naprawi wino; zaraz po wykopaniu dołu, ażeby ziemia nie ewaporowała, włóż tam butelki z winem i zasyp ziemią, najlepiej jest czynić to przy końcu miesiąca Marca, a dobywać z ziemi można będzie w listopadzie; przez te ośm Miesięcy wino tak się naprawi, jak gdyby przez ośm lat było konserwowane. Do tego doświadczenia trzeba wybierać wina tłuste i nie fabrykowane; ziemia także, w którą się zakopuje butelki, powinna być sucha nie błotnista, a najlepsza jest taka, która ma w sobie tłustość i salętrę".

Oczywiście odpowiedzialności za skuteczność tego przepisu nie biorę. Wziąłem natomiast ten cytat z nr 4 prawie nieznanego miesięcznika „Dziennik ekonomiczny zamoyski", który ukazywał się w latach 1803—04 w Zamościu. Wprawdzie już nieoceniony K. Estreicher wspomina o tym wydawnictwie w swojej „Bibliografii polskiej" XIX w. (część I str. 449), wprawdzie tu i ówdzie można o nim znaleść króciutkie wzmianki — nigdzie jednak nie mogłem natrafić na bardziej szczegółowe o nim informacje.

A tymczasem wygląda na to, że jest to jedno z najstarszych, jeżeli nie najstarsze czasopismo techniczne (nie ekonomiczne — jak sugeruje tytuł) w Polsce, ukazujące się nieprzerwanie w ciągu półtora roku, o pełne 73 lata starsze od zasłużonego „Przeglądu technicznego". Uważany przez wielu bibliografów za pierwszy polski miesięcznik techniczny „Izys polska" rozpoczęła się ukazywać dopiero w r. 1820. To prawda, że poziom „Izys" był wyższy, ale trzeba pamiętać, że czasopismo zamojskie opierało się najpierw na dwóch, a potem na jednym człowieku, podczas gdy miesięcznik warszawski z natury rzeczy miał bardzo duży krąg współpracowników i to na najwyższym wówczas poziomie.

Przytoczona recepta na postarzenie wina należała do wiadomości, podawanych marginesowo jako ciekawostki. Rozumiejąc pod słowem „ekonomia" użyteczne w życiu wiadomości z dziedziny fizyki, historii naturalnej i chemii, założyciel „Dziennika ekonomicznego zamoyskiego" Bazyli Kukolnik uważał, że zdobywanie i upowszechnianie tych wiadomości przyczyni się do poprawy „gospodarstwa", przez co należy rozumieć rolnictwo. Ale nie chodzi mu o teorię, lecz praktykę. Stosunkowo rzadko więc teoretyzuje, w zasadzie zaś pisze to, co jego zdaniem może przydać się w ulepszaniu gospodarstwa rolnego. Ten kierunek utrzymał i jego następca Wojciech Gutkowski. Tak więc ukazywać się będą artykuły „O ziemi w ogólności", „O wodzie", „O różności gruntów", „O gnojeniu gruntów" czy „O przypadkach zbożom na polu szkodzących".

Tematy związane bezpośrednio z uprawą ziemi przeważają, zwłaszcza w dalszych numerach miesięcznika. Ale wcale niepoślednie miejsce zajmuje fizyka, a zwłaszcza mechanika związana z rolnictwem. Tak więc przez pięć pierwszych numerów ciągnie się długi cykl artykułów o różnych rodzajach młynów, tak napisany, aby na tej podstawie każdy mógł sobie odpowiedni młyn wybudować. Do młynów zresztą autor wraca także w następnych numerach. Są artykuły czy obszerne wiadomości o budowie kieratów, deptaka czy „machiny hydraulicznej... która wyprowadza wodę na wysokość 36, 48, 54 i więcej łokci".

Bardzo obszerny dział w każdym niemal numerze stanowi „Budownictwo wiejskie". Cykl ten rozpoczyna się w numerze drugim, autorem aż do końca jest Wojciech Gutkowski. A upowszechnianie takich wiadomości widocznie było bardzo potrzebne, jeżeli autor we wstępie pisał: **„Chaty we wsiach są prawdziwym wyobrażeniem owych początkowych szałasów... Miasteczka nasze są zawsze nędzne... Mieszkaniec biedny miasta zaledwo poczyna porastać w pierze i już przez pożar do ostatniej nędzy przywiedzionym bywa".**

Oczywiście zarówno opisy techniczne jak i załączone do nich rysunki (miedzioryty wykonane własnoręcznie przez Gutkowskiego lub niejakiego Romanowskiego) nie przedstawiają dzisiaj żadnej wartości. Ale z rozważań ogólnych, bez posądzenia mnie o złośliwość, chciałbym przytoczyć dwa wyjątki. Pierwszy:

„Budowniczy doskonały oprócz nauki architektury znać powinien fizykę, geometrię, mechanikę, hydraulikę, historię naturalną, być biegłym w literaturze, posiadać sztukę rysowania... Lecz jak to wszystko trudno zebrać jest w jednym człowieku, tak też nie dziw, iż nie wiele budowli widzimy, któreby wygodom należycie odpowiadały i oko doskonale kontentowały". I drugi wyjątek: „Dziś zaledwo pomyśli się o budowaniu juściby się rado widzieć pokończone budowle, dlatego na gwałt przysposabiają wszystko, nie pytając się co potem będzie. Koszta zaś daleko większe ponoszą"...

Trzeci stały wielki dział zatytułowany był „Technologia". Zaczęło się od bielenia płótna, potem ukazywały się dokładne wskazówki jak wyrabiać mydło, jest także przepis o robieniu ciast, który autor rzekomo sam wypróbował. Podaje zaś ten i podobne przepisy dlatego, ponieważ **„możni przez zepsutą obyczajność swoich służących, ubożsi zaś przez nieświadomość nie mogą użyć swojej pracy, jak sobie życzą i jak im się sprawiedliwie należy".** Aż w sześciu kolejnych numerach znajdujemy materiały najpierw o „paleniu gorzałki, a potem o „Paleniu wódki", rzekomo pióra jakiegoś Niemca Jana Westrumba, ale ze wstępu raczej wynika, że i to napisał imć pan Gutkowski, widać wielki znawca i smakosz tego płynu.

Jest wreszcie dział **„Rozmaitości"**, gdzie w pierwszych numerach są zupełnie poważne informacje o rolnictwie w różnych krajach, a potem mnożą się coraz dziwniejsze rady i przepisy — jak łowić wilki, jak samemu preparować rzekomo znakomite lekarstwa, o zawrocie głowy u owiec itd.

Dzisiejszemu czytelnikowi wiele rzeczy w **„Dzienniku ekonomicznym zamoyskim"** wyda się naiwnych, nawet nieprawdziwych. Ale dla czytelnika sprzed przeszło półtora wieku były to materiały pożyteczne, na ogół postępowe, zgodne z najnowszymi naówczas osiągnięciami nauki i techniki.

Kim był twórca, pierwszy wydawca i redaktor „Dziennika"? Musiałbym zapewne długo dłubać w bibliotekach gdyby nie przypadek. W czasie tegorocznych Dni Oświaty, Książki i Prasy w jednej z lubelskich gazet ukazała się — nieprawdziwa! — wiadomość, że w bibliotece oddziału NOT otwarto wystawę książki technicznej. Wtedy znany lubelskim bibliofilom i filatelistom inż. Jacek Rogowski postanowił szybko taką wystawę zorganizować. Zajęty przygotowaniami otworzył na chybił trafił rocznik **„Przeglądu technicznego"** z 1904 roku i to na stronie 136. Spojrzał i przeczytał tytuł: **„Dziennik ekonomiczny zamoyski"**. Był to właściwie podtytuł ciągnącego się przez kilka numerów artykułu Feliksa Kucharzewskiego (znanego wówczas inżyniera i matematyka) „Czasopiśmiennictwo techniczne polskie przed r. 1875".

Jak pisze Kucharzewski Bazyli Kukolnik był z pochodzenia Węgrem (chyba Słowakiem?), a w chwili powstania czasopisma wykładał fizykę i historię na-

Odpowiedzi redakcji

S. M. w Białymstoku. Po pewnych skrótach postaramy się materiał wykorzystać.

J. M. w Częstochowie. Może coś wybierzemy, ale prosimy uzbroić się w cierpliwość.

K. S. w Lublinie. Nadesłał Pan następujący wiersz pt. „Słowa":

Tajemne
PRĄDY MÓZGU
najbardziej ulotne, najdoskonalsze
MYŚLI
podzielono na cząstki gdy mówimy
TY, JA
DRGANIA POWIETRZA
zapisane na taśmie-płycie
uwięzione na papierze
— STRZĘPY MYŚLI
— WYRAZY
JESIEŃ
MIŁOŚĆ
ŚMIERĆ
KONIEC
KROPKA

Ocenę pozostawmy grafikowi!

F. R. w Borowcu. Może Pan nawiąże kontakt z Międzywojewódzkim Klubem Pisarzy Ludowych? On ma nieco inne kryteria oceny.

W. I. w Hajnówce. Slogan, o którym Pan pisze, rzeczywiście został zmieniony. Pozostaje jednak faktem, że handlowcy uczynili to dopiero po krytyce miejscowej prasy. Pieniądze na neon wydatkowano aż dwukrotnie.

„Dafnis-Korczyna". Dziękujemy za miłe słowa. Z nadesłanych utworów najbardziej nam się podobało **„Czekanie"**. Ma Pan pewną kulturę słowa, warto więc pracować dalej. Na razie Pana wiersze to jeszcze — mniej czy bardziej udane — próby poetyckie.

Oto treść listu, jaki otrzymaliśmy od **P. Janiny Buryl z Zielonej k. Krzczonowa:** **„Droga Redakcjo bardzo to miło, z Twej strony. Dziękuję za artykuł o Józefie Czechowiczu 16 (343) Nr „Kameny". Jestem prawie Krzczonowianką, mieszkam 2,5 km od Krzczonowa, w którym urodziłam się 20 lat temu. Bardzo to miło przeczytać, że w tym właśnie Krzczonowie był sławny poeta, a jeszcze przyjemniej, że tegoż poetę znał mój nauczyciel, świetny gawędziarz, pan Józef Skwarzyński. I właśnie chciałam poprosić, jeśli można, pana Tadeusza Klaka, że ten starszy b. miły pan nazywa się właśnie Józef Skwarzyński a nie Smarzyński. Łączę pozdrowienia...!"** Dziękujemy.

W. L. w Długim Ługu. Pomyślnie załatwiamy sprawę, o co prosi Pan w liście, drukując fragment Pana felietonu (?) pt. **„Dom to nie chlew". „Jakie znaczenie użytkowe ma dom, a jakie chlew, wiedzą o tym już kilkuletnie dzieci. Pomimo tak powszechnego rozumienia tej różnicy, ciągle używa się wyrażenia „zwierzęta domowe". I nikt publicznie nie rozważa pytania, czy to wyrażenie zasługuje na używanie czy zmianę, a szkoda. Takiego rozważania rzeczy wymaga już postęp. Także kultura języka.**

...Przymiotnik „domowe" w zespoleniu z rzeczownikiem zbiorowym „zwierzęta" wskazuje na to, że krowy, świnie, owce, konie itp. przebywają nie w chlewie, lecz... w domu, razem z ludźmi! Cha, cha, cha! Przecież dom to nie chlew! Przymiotnik „domowe" jest więc i nieścisły i mętny w tym zespoleniu.

...Nadaje się tu przymiotnik: przydomowe, a jeszcze lepiej — chlewne. Chodzi o to, żeby poczynić pewien plus na ratunek postępu i kultury języka. Dbanie o postęp i kulturę języka jest obowiązkiem każdego obywatela".

W zakończeniu pisze Pan: **„W razie nie opublikowania krytyki w czasopiśmie należy bezwłocznie zwrócić mi ją ze wskazaniem uzasadnienia nieopublikowania. Przy tym należy ją opieczętować, odatować wpływ jej do redakcji, tudzież zaopatrzyć w czytelny podpis. Będzie to mi dowodem, że krytyka była rzeczywiście w redakcji. W tym ostatnim razie prześlę ją do jeszcze innej redakcji".** Oszczędziliśmy już Panu tego trudu.

T. O. w Mławie. Przysłał Pan zbiór wierszy. Zamiast listu — wielki znak zapytania. W niektórych utworach zauważyliśmy ciekawe metafory, skojarzenia. Sądzimy jednak, że ogólna poprawność Pana wierszy powinna niepokoić. Rzecz w tym, że musi Pan usilniej szukać własnego „ja", mniej naśladując innych. Po pewnym czasie prosimy o dalsze próby.

B. W. w Gdyni. Cieszymy się, że „Życie Literackie" wydrukowało kilka Pana fraszek. Do „Kameny" wysyła Pan jednak słabsze rzeczy...

od BIEBRZY po BIESZCZADY

BIAŁYSTOK

◆ Nareszcie białostoccy plastycy będą mieli własne lokum — dawną zbrojownię przy ul. Mickiewicza. Konserwator wojewódzki obiecał sfinansować remont i adaptację lokalu.

◆ Z udziałem wielu uczonych zagranicznych w dniach 15—19 września odbył się w Białymstoku IV zjazd naukowy Polskiego Towarzystwa Epidemiologów i Lekarzy Chorób Zakaźnych.

◆ Pedagogiczna Biblioteka Wojewódzka część swoich zbiorów musi trzymać w piwnicach. Wprawdzie piwnice wyremontowano, ale trudno uznać, aby to było odpowiednie miejsce dla cennych książek. Co na to rada narodowa i kuratorium?

◆ Przynajmniej 40 przedstawień w terenie więcej w ciągu roku może dać Teatr Lalek „Świerszcz" — jeżeli otrzyma jedną „Nysę". Ale długie starania o mikrobus wciąż gdzieś utykają.

◆ Po odświeżeniu sala Teatru im. Węgierki ma wprawdzie 80 miejsc mniej, ale m. in. otrzymała nowe fotele, a widoczność jest znacznie lepsza. Sezon zaczęto premierą rzadko grywanej sztuki Lope de Vegi „Gwiazda Sewilli".

KIELCE

◆ I znów książka o Radomiu. Dr Stefan Witkowski napisał pracę „Struktura przestrzenna miasta na przykładzie Radomia", która niedługo ukaże się nakładem wydawnictwa „Arkady".

◆ Prezydium MRN w Kielcach przyjęło uchwałę o przyznaniu dorocznych nagród i wyróżnień dla osób, których twórczość jest związana bezpośrednio z Kielcami. Tegoroczne nagrody przyznano w czasie Świętokrzyskich Dni Kultury, następne co roku w styczniu — w rocznicę wyzwolenia miasta.

◆ 1877 pracowników starachowickiej FSC zgłosiło się już celem uzupełnienia swojego wykształcenia — w tym 157 na studia wyższe. W czerwcu 460 pracowników otrzymało dyplomy ukończenia różnych szkół.

◆ 2400 chłopców i dziewcząt będzie mogło korzystać w tym roku z Młodzieżowego Domu Kultury. O 400 więcej niż w ub. roku, a to dzięki uruchomieniu dwóch filii w osiedlu Kieleckiej Spółdzielni Mieszkaniowej i w dzielnicy Czarnów.

LUBLIN

◆ Uniwersytet Sztuki przy BWA rozpoczyna drugi rok działalności. Oby bardziej konsekwentnie i na dłużej niż w pierwszym roku!

◆ Zespół tańca ludowego studentów UMCS brał z dużym sukcesem udział w festiwalu w Dijon oraz w festiwalu sztuki studenckiej w Paryżu. Zespół pieśni i tańca studentów WSR niemal w tym samym czasie przebywał w Turcji, gdzie w ciągu miesiąca dał 8 koncertów.

◆ Z udziałem 300 naukowców polskich oraz wielu zagranicznych w dniach 13—17 września odbył się w Lublinie X zjazd Polskiego Towarzystwa Fizjologicznego. W ramach zjazdu odbyły się 3 sympozja specjalistyczne. Kilka dni wcześniej odbył się III zjazd Polskiego Towarzystwa Nauk Weterynaryjnych.

◆ Klub „Azory" jest bodaj pierwszym, który zbudził się po wakacyjnej drzemce. Zaczął kursami języków obcych i prezentacją prywatnych płytotek z różnymi przebojami muzycznymi.

◆ 50 filmów nadesłano do komisji kwalifikacyjnej III Ogólnopolskiego Festiwalu Filmów Rolniczych, który odbędzie się w Lublinie w dniach 21—23 października.

RZESZÓW

◆ W rzeszowskim Domu Sztuki otwarto wystawę „Oświęcim w sztuce". W jednej sali pokazano dokumenty, w drugiej obrazy, rzeźbę i grafikę.

◆ 9 września plenum KW PZPR obradowało na temat dydaktycznych i polityczno-wychowawczych zadań szkolnictwa. Po plenum kierownictwo partii spotkało się ze studentami Studium Nauczycielskiego.

◆ Pierwszą nagrodę w ogólnopolskim konkursie urbanistyczno-rzeźbiarskim na Pomnik Bohaterów Ziemi Kieleckiej zdobył Stefan Majchrzyk z Poznania, drugą zespół z Krakowa, trzecią plastycy rzeszowscy A. Smoczeński, K. Bukała i Wł. Boczkaj.

◆ Fredreum kończy przygotowania do premiery „kroniki siedmiu dni w pięciu aktach z prologiem i epilogiem" — czyli sztuki Janiny Skowrońskiej-Feldmanowej „Westerplatte".

◆ 180 uniwersytetów powszechnych, ok. 6 tysięcy odczytów — to plany TWP na nowy rok oświatowy. Nową formą będą tzw. studia zainteresowań — cykl oświatowy na określone tematy.

Klucze do zamku

(Dokończenie ze str. 4)

nością skorzysta z usług tej bogatej pracowni.

Przed odnowieniem stan zamku szydłowieckiego był naprawdę opłakany — popękane stropy i ściany groziły zawaleniem i właściwie najprościej było wymurować je na nowo. Sęk w tym, że bardzo często pod nawarstwieniami tynków znaleziono piękne i nieznane polichromie lub sgrafitta. Była np. ściana opierająca się na długiej drewnianej belce. Belka zgniła i cała ściana opadła. Teraz specjaliści z warszawskiej Pracowni Konserwacji Zabytków musieli ją poddźwignąć do pierwotnej wysokości — podłożyć nową żelbetonową, czy stalową belkę i na niej oprzeć ścianę. To wszystko trzeba było uratować. Ściany zamku pozazywano, posklejano i istnieją wszelkie szanse, że będzie on służył jeszcze całe stulecia. Pewne fragmenty malowideł zabezpieczono pod drugą podłogą — na potrzeby dokumentacji specjalistycznej dla przyszłych autorów opracowań monografii zamkowej.

Zrodził się jeszcze jeden pomysł. Otóż wielki, z czterech stron otoczony murami dziedziniec zamkowy może być znakomitym tłem dla plenerowych spektakli teatralnych. Warunki do stworzenia takiego widowiska polepszy jeszcze wyłożenie całego dziedzińca wielkimi płytami miejscowego piaskowca. Nic tylko grać i tańczyć jak na stole! Na koronie muru jest krużganek, którego szerokość wystarczy na ustawienie dwóch rzędów krzeseł. Byłby to niecodzienny balkon dla widzów.

W ten sposób Szydłowiec, małe i prawie zapomniane dotąd miasteczko, może stać się prawdziwym kombinatem działalności artystyczno-kulturalnej, atrakcyjnym i dla turystów i dla miejscowych. Do tego trzeba będzie jednak specjalistów i ludzi zapalonych do pracy, ale to już osobny problem.

Po zakończeniu prac w Szydłowcu być może aktualna stanie się sprawa restauracji zamku w Drzewicy, bardzo bliskiego stylem i przeznaczeniem. Drzewica, jeśli zakłady „Gerlach" staną się mecenasem i wspomogą szczupły fundusz Wojewódzkiego Konserwatora, może uzyskać piękny dom kultury i odzyskać świetny zabytek. Gra chyba warta świeczki i nadszarpnięcia kieszeni? To prawda, że koszt restauracji jest prawie zawsze wyższy od budowy nowoczesnego budynku. Ale przecież chodzi nie tylko o mury, ale także o wartości niewymierne — przywrócenie świetności starym pomnikom naszej sztuki architektonicznej. I walor turystyczny, przyciągający przybyszów, a więc w perspektywie zwracający pieniądze. Warto więc starać się o uzyskanie kluczy do zamków, których dziesiątki w całym województwie proszą o pomoc i ratunek. Dobrze, że ten najpiękniejszy został już uratowany.

Ryszard Podlewski

Rozmowa z Aleksandrem Omiljanowiczem

ALEKSANDER Omiljanowicz jest autorem kilku książek ściśle związanych z tematyką wojenną. Akcja jego powieści rozgrywa się na Białostocczyźnie. Pierwsze więc pytanie, które kieruję do autora, brzmi:

— Dlaczego poświęciłeś się właśnie tematyce wojennej?

— To nie było przypadkowe. W latach 1940—1941 uczestniczyłem w pracy konspiracyjnej. Miejsce: rodzinne Suwałki. Z ramienia grupy oporu współredagowałem podziemną gazetkę „Odrodzenie Narodowe". Niestety, hitlerowcy wpadli na trop naszej organizacji, nastąpiły aresztowania, więzienie w Królewcu, a następnie pobyt w obozach koncentracyjnych. Pisząc o walkach polskiego podziemia z hitlerowskim okupantem w pewnym sensie spłacam dług tym, którzy życie poświęcili sprawie wolności i niepodległości. Zawsze przyświecają mi, jako pisarzowi, słowa wielkiego Hemingwaya: „Pisz tylko o tym, co dobrze znasz i pisz uczciwie. Twoje książki powinny opowiadać o ludziach, których znasz, których lubisz lub nienawidzisz". I te wskazówki autora „Komu bije dzwon" staram się, w miarę skromnych możliwości, wcielać w życie w moich utworach.

— O ile wiem, to wszystkie twoje utwory mają wartość dokumentów?

— Tak. To, co napisałem, można podzielić na dwie grupy. Pierwsza: książki dokumentarne, będące na pograniczu opracowania historycznego, naukowego. Do tej grupy zaliczam „Listy spod gilotyny", album „Ziemia Białostocka przypomina" oraz artykuły zamieszczone w „Roczniku Białostockim", „Pracach do dziejów Suwalszczyzny" i innych czasopismach, almanachach i zbiorach naukowych.

Do drugiej grupy moich utworów zaliczam opowieści: „Agent Karol-32", „Było to nad Czarną Hańczą", „Wyrok", „Kryptonim „Tajne". Wszystkie one zostały wydane w formie książkowej. Ponadto szesnaście podobnych opowieści drukowała w odcinkach „Gazeta Białostocka". To również są utwory dokumentarne, z tym tylko, że posługuję się fikcją literacką w takim zakresie, na jaki pozwala literacki reportaż. Wszystkie zdarzenia i osoby są prawdziwe.

— Które z tych utworów opowiadają o działalności konspiracyjnej twoich współtowarzyszy walki?

— Wydarzenia, w których osobiście uczestniczyłem, opisałem w opowieściach „Było to nad Czarną Hańczą", „Wyroku" i „Listach spod gilotyny". Ale w żadnym wypadku nie należy ich utożsamiać z pamiętnikami. Może zauważyłeś, że w ani jednym z tych utworów nie ma mojego „ja". Dlaczego? Uważam, że mój udział w ruchu oporu stanowił zaledwie małą cząstkę bohaterskiej walki z hitlerowskim barbarzyństwem. To, co wspólnie przeżyliśmy, jest o wiele ciekawsze od moich osobistych przeżyć.

— Niektóre z twoich utworów zostały przetłumaczone na obce języki...

— Praca NRD-owska przedrukowała kilka moich artykułów publicystycznych, demaskujących hitlerowskich zbrodniarzy wojennych, którzy nadal pozostają na wolności i czują się bezkarni w NRF. Sporo moich utworów opublikowały gazety radzieckie („Komsomolskaja Prawda", „Sowietskaja Litieratura" i „Grodzieńska Prawda"). Obecnie wydawnictwa radzieckie przygotowują do druku „Listy spod gilotyny" oraz opowieść pt. „Sauer 1149 W".

— Autorowi nie wypada się chwalić, ale może kilka słów o nakładach i nagrodach?

— Wolałbym, abyś sam to uczynił... Łączny nakład moich wszystkich książek — 180 tysięcy egzemplarzy. Najważniejsza nagroda, którą wysoko sobie cenię, to „Złoty Kłos" dla najbardziej popularnego pisarza regionalnego w swoim środowisku. Ponadto moje utwory zostały wyróżnione w konkursie na publicystykę wojenną. No i dwukrotnie otrzymałem nagrodę wojewódzką.

— Wiem, że wysoko sobie cenisz listy od czytelników. Czy dużo ich otrzymujesz?

— Bardzo dużo. Ale nie tylko listy. Często spotykam się z czytelnikami. Spotkania, które odbywają się w świetlicach, domach kultury, klubach „Ruchu", bibliotekach, są dla mnie bardzo cenne. Przychodzą na nie bezpośredni i pośredni uczestnicy wydarzeń, które opisuję w swoich utworach. Dzielą się oni wrażeniami z lektury moich książek, często podają inną wersję zdarzeń, przekazują mi dokumenty. Z tych spotkań korzyści są obopólne: czytelników i autora.

— I na zakończenie naszej rozmowy tradycyjne już pytanie: co nowego masz na warsztacie?

— Obecnie pracuję nad dwoma powieściami. Jedna poświęcona jest działalności radzieckich wywiadowców w sztabie Georinga w Białowieży, a druga działalności Abwehry na Białostocczyźnie w okresie poprzedzającym najazd Niemiec hitlerowskich na Polskę.

Rozmawiał:
Stanisław Świerad

Trochę trosk, wiele nadziei

(Dokończenie ze str. 3)

zasobów finansowych, ani artystycznych, na rzeczywiste i stałe funkcjonowanie sceny kameralnej, w najlepszym sensie słowa awangardowej, która — właśnie ona! — mogłaby mu nadać wreszcie utęsknione „oblicze" za sprawą wybitnie ambitnego repertuaru i twórczej jego realizacji.

I oto mamy egzotyczny kwiatek na tej łączce: z sukursem Teatrowi im. J. Osterwy przychodzi rzutka PPIE, dając w Lublinie, na scenie klubu „Relaks", tak frapujące imprezy, jak ostatnio montaż z fragmentów dzieł Tomasza Manna, znakomicie opracowany przez Ewę Otwinowską i w wirtuozowskim wykonaniu krakowskich aktorów, Haliny Kwiatkowskiej i Marka Walczewskiego. Tylko że „Estrada" miała z czego do tej imprezy dopłacić (sala była zapełniona nieledwie do połowy).

Jakież więc propozycje wynikają z powyższych sygnałów?

Przede wszystkim — wychowywać nadal cierpliwie widza i słuchacza, wyzbywając się jałowego snobizmu oraz okolicznościowej demagogii.

Sprecyzować nareszcie odważnie i definitywnie: co należy upowszechniać z tych różnorodnych treści i środków wyrazu, którym od szeregu lat dano w Polsce Ludowej zielone światło.

Rozgraniczyć wyraźnie zadania teatru a „Estrady", „Estrady" a filharmonii, Operetki a teatru dramatycznego.

Ustalić wreszcie, że upowszechniać dobra kultury powinny w głównej mierze placówki specjalnie do tego nadające się: biblioteki, radio, telewizja, kino, PPIE, odpowiednio zorganizowane teatry objazdowe.

Przeanalizować jak najgłębiej istniejące możliwości takiego dofinansowania teatrów wojewódzkich, by mogły one stać się placówkami w pełni twórczymi.

Jestem przekonana, że wymienione przeze mnie objawy zamieszania są przemijające, i wierzę, iż Kongres Kultury Polskiej wytyczy drogi prowadzące prościej do wielkiego celu upowszechnienia wartości kulturalnych.

Ma ia Bechczyc-Rudnicka

(Dokończenie ze str. 10)

turalną (oraz nauki ekonomiczne — co autor pominął) w Liceum Zamojskim, odbudowanym przez ordynata Stanisława Zamojskiego „na gruzach" dawnej Akademii. Zamojski dał pieniądze na wydawnictwo, zafundował mu drukarnię i nie skąpił dalszego poparcia. Ale głównym współpracownikiem był od początku **„inżynier sądowy, architektury i geometrii praktycznej nauczyciel"** Wojciech Gutkowski, który w końcu 1803 r., gdy Kukolnik przeniósł się najpierw do Szczebrzeszyna, potem do Petersburga, a wreszcie do miejscowości Nizen na Ukrainie, gdzie zmarł — został redaktorem miesięcznika. W r. 1805, a więc już po zlikwidowaniu **„Dziennika"**, Gutkowski wydał w zamojskiej drukarni tłumaczenie 76-stronicowego dziełka **„malarza historii i profesora rysunków w szkole politechnicznej paryskiej"** niejakiego Bosio pod tytułem **„Fundamenta początkowe reguł rysunkowych"**. W następnym roku wydaje w Warszawie **„Katechizm ekonomiczny dla włościan"**. Później jako autor rozprawy o fortyfikacjach występuje Gutkowski w stopniu podpułkownika inżynierów, poddyrektora szkoły artylerii i inżynierii, członka Towarzystwa Przyjaciół Nauk oraz towarzystw ekonomicznych warszawskiego i petersburskiego. Wspomina o nim Staszic w swojej mowie w TPN w 1817 r. W czasie Księstwa Warszawskiego był szefem korpusu artylerii.

Dodajmy do informacji Kucharzewskiego kilka dalszych wiadomości. Najpierw jeżeli chodzi o **„Dziennik"**. Ukazanie się jego zapowiadano wcześniej prospektami, obiecując m. in. założenie Towarzystwa Ekonomicznego. W pierwszym numerze Kukolnik wyjaśnia, że **„dla niektórych przyczyn zostawia się to późniejszemu czasowi"**. Z drugiej notki można się dowiedzieć, że zarówno prospekty jak i spodziewany kolportaż miał objąć **„wszystkie pocztamty w krajach austriackich, rosyjskich i pruskich"**, a stałe punkty prenumeraty znajdowały się we Lwowie, Krakowie i w Lublinie (u bernardynów). W nr 6 ukazuje się zawiadomienie o punkcie prenumeraty w Warszawie. Redaktor zwraca się też kilkakrotnie do czytelników, aby nadsyłali własne materiały, zastrzega się jednak, że muszą one być podpisane przez autorów. Jak z tego widać plany, chociaż niezupełnie zrealizowane, były szerokie, a miesięcznik usiłował nawiązać żywą łączność z czytelnikami. To ostatnie zresztą chyba niezbyt się udało, bo materiałów obcych w następnych numerach prawie wcale nie widać.

Jeżeli chodzi o Wojciecha Gutkowskiego trzeba dodać, że urodził się on w 1775 r. w Zamieniu pod Mińskiem Mazowieckim, a zmarł 1 maja 1826 r. w Lublinie. Stał się on w późniejszym okresie życia socjalistą utopijnym, jednym z pierwszych w Polsce. W **„Dzienniku"** propagował idee fizjokratyzmu — stąd tyle problemów związanych z rolnictwem. Fizjokraci bowiem uważali, że jedynie w rolnictwie, po zainwestowaniu odpowiednich kapitałów, powstają nadwyżki żywności i surowców. Napisał również powieść **„Podróż do Kalopei"** (chodziło o Polskę, Kalop — Polak), która ukazała się drukiem dopiero przed 10 laty. Drogą do uzdrowienia stosunków w Polsce jest — zdaniem autora — zrównanie całego społeczeństwa pod względem ekonomicznym, politycznym i społecznym. A więc egalitaryzm — jeden z istotnych składników utopii społecznych.

Pierwszy numer **„Dziennika ekonomicznego zamoyskiego"** ukazał się w styczniu 1803 r. — ostatni, osiemnasty, w czerwcu 1804 r. A więc niezwykle jak na owe czasy regularność. Numery zawierały od 94 do 108 stron formatu książkowego (ósemka). Papier był zupełnie dobry, druk jasny, ale korekta, nawet w numeracji stron, dosyć słaba. Do każdego numeru, z wyjątkiem ostatniego, dołączone były rysunki (miedzioryty). Co było powodem zlikwidowania wydawnictwa trudno powiedzieć. Zbyt mała liczba prenumeratorów? Brak funduszów? Nieporozumienia z ordynatem, któremu mogły się nie podobać kiełkujące już chyba idee, wyłożone później w **„Podróży do Kalopei"**? Dość, że zupełnie niespodziewanie w nr 18 ukazuje się **„Doniesienie"**, podpisane przez Gutkowskiego: **„Donosi się, że niniejsze Dzieło nie będzie nadal kontynuowane. Kto więc całoroczną Prenumeratę zapłacił, ma się upomnieć o półroczną w miejscu wypłacenia"**. Swoją drogą niezbyt częsta uczciwość, wskazująca zresztą, że nie brak pieniędzy był powodem likwidacji „Dziennika".

Komplet tego miesięcznika — wbrew temu co podaje katalog — znajduje się w Bibliotece im. Łopacińskiego. Pomijając błąd maszynowy w katalogu (podano rok 1903 zamiast 1803) ktoś bardzo niedbale przejrzał pięć książek, składających się na całość **„Dziennika"** i zanotował tylko pierwsze numery każdej książki — 1, 5, 9, 13 i 16. Na szczęście są wszystkie. Chyba podobnie jest w Zamościu, skąd otrzymałem list, że są także tylko owe początkowe numery.

„Dziennik ekonomiczny zamoyski" miał niewątpliwie duży wpływ na podniesienie stanu rolnictwa w naszym województwie, uczył chyba z jakimś skutkiem gospodarności, propagował nowości. A ponieważ był pierwszym tego rodzaju pismem w Polsce, utrzymującym się tak stosunkowo długo, tym większy splendor dla Zamościa i dla całego województwa.

Pewnego rodzaju kontynuacją **„Dziennika"** był ukazujący się od 1 kwietnia do 9 września (w poniedziałki i czwartki) **„Dostrzegacz ekonomiczny i polityczny lubelski"**. Działy niemal takie same jak w **„Dzienniku"**. Ponadto jednak **„Dostrzegacz"** wydawał do każdego numeru dodatek, w którym publikował wiadomości z całego świata, zresztą szczególnie dużo z Francji, a prawie nic z Lublina. Ale to już inna historia.

Jerzy Dostatni

»KAMENA«

Pismo lubelskiego oddziału Związku Literatów Polskich. Redaguje Kolegium: Konrad Bielski, Jerzy Dostatni (sekretarz redakcji), Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Zygmunt Mikulski.

Przedstawiciele redakcji: BIAŁYSTOK — Stanisław Świerad („Gazeta Białostocka"), ul. Wesołowskiego 1, tel. 37-41, KIELCE — Tadeusz Bartosz („Słowo Ludu"), Plac Obrońców Stalingradu 2, tel. 82-26, RZESZÓW — Jan Grygiel („Nowiny Rzeszowskie"), ul. Żeromskiego 5, tel. 20-51.

Informacji w sprawie prenumeraty udzielają placówki pocztowe i Ruch. Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty.

Wydawca: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW PRASA, Lublin, Aleje Racławickie 1. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unicka 4.

Adres redakcji: Lublin, ul. Graniczna 7 tel. 234-49

Zam. 3027. 7.IX.68. L-4

Z ŻYCIA WZIĘTE

Wciąż ten romantyzm

MUSZĘ przyznać szczerze, iż podejmując ten temat mam uczucia nieco mieszane. Bo jest trochę tak, jakbym podciął gałąź, na której siedzę: zajęcie przecież niezbyt rozsądne. Ale ja nie muszę być rozsądny — rozsądne musi być moje pisanie.

Otóż mam zamiar pisać i — tu tkwi paradoks — o przesadnej wierze w moc słowa. Wiara to romantyczna, korzenie jej sięgają gdzieś w głąb naszej historii, kiedy to słowo nieraz musiało zastępować działanie. Ale dzisiaj? Mimo radykalnej odmiany historii dzisiaj często dzieje się tak samo. A dokumentację tej tezy rozpocznę od spostrzeżeń błahych, wręcz urlopowych.

Otóż niewątpliwą radością lata jest kąpiel. Ale kąpiel w naszym kraju, w zasadzie przynajmniej, jest „wzbroniona". Wędrując wzdłuż brzegów rzek, jezior i stawów, wszędzie spotykamy owe słowa „kąpiel wzbroniona". Na przykład prawie cały zalew zamojski, tam nawet, gdzie woda nie sięga po brzuch, najeżony jest owymi groźnymi tablicami, które stwarzają wręcz atmosferę terroru. Oczywiście, to wszystko z troski o nasze życie. Dalibóg, bardzo to nieskuteczna troska: pod samymi tablicami odbywa się radosne pluskanie dzieciaków i setek ludzi. Moc najsilniejszych nawet słów okazuje się bezsilna wobec — pragnienia radości. Słowo zostaje upokorzone przez życie.

Dlatego słowo trzeba zastąpić działaniem. Nie, nie radzę wcale, by zamiast tablic co dziesięć metrów ustawić milicjantów. Ale co z masową nauką pływania? Otóż na ten temat... padło już bardzo wiele słów. I nic ponadto.

Podobnie jak z wodą, choć z innych powodów, dzieje się teraz i z lasami, których olbrzymie połacie groźnym słowem zostały ogrodzone. Ale lasy są zbyt piękne — chodzi się więc po nich. Tyle tylko, że kto resztki szacunku dla słowa zachował — to chodzi teraz z jakimś poczuciem winy.

„Wzbronione!" Niestety, nadużywanie tego słowa sprawia, że staje się ono śmieszne. Staje się przedmiotem kpin, a nie szacunku. A przecież właśnie kpiny ze słowa powinny być... wzbronione. Tylko w jaki sposób? Może by postawić jedną bardzo wielką tablicę, albo sto mniejszych — z odpowiednim napisem?... Muszę wyraźnie zaznaczyć, że to był żart — bo ktoś gotów zrobić to naprawdę. Wszelkie tablice są możliwe, skoro na karuzeli w lubelskim wesołym miasteczku zawieszono wielkie hasło „Przestrzegaj przepisy BHP!"

Słowo, okazuje się, ma swoją moc: moc rozgrzeszania. Rozgrzeszania od roboty. Zawsze to bowiem łatwiej coś zakazać, kogoś do czegoś nawoływać — niż go nauczyć. W tej łatwości słowa dopatruję się głównego źródła nieszczęścia.

Z drugiej strony: przy nadmiarze, przy orgii wręcz napisów i tablic ostrzegających, zabraniających, nakazujących, wzywających, wyzywających — kompletny niedosyt spokojnej i rzeczowej informacji. Na wielu ważnych drogach nie uświadczysz ani jednego drogowskazu. Wolimy krzyczeć i nawoływać.

Rzecz ma się podobnie i w stolicy województwa. Po mieście krążą poetyczne wozy, z kolorowymi napisami, na przykład „Trochę chęci, trochę trudu, a nie będzie w mieście brudu". Ale jak ma nie być brudu, skoro na etacie dozorców zatrudniamy... poetów? Ten romantyzm — jaki on wygodny...

Na tę śmietnikową poezję pieniędzy nie zabrakło. Ale wciąż brakuje na rzeczową informację. Kiedy w Lublinie przystąpiono do remontu linii trolejbusowych, nikt nie pomyślał o wywieszeniu na przystankach zmienionego rozkładu jazdy. Otumanieni ludzie wyczekiwali godzinami, wsiadali i wyskakiwali, błąkali się z krańca miasta na kraniec. Dlaczego nie są „wzbronione" balagan i lekceważenie?

Wiele by jeszcze o tym można pisać, ale... nie chcę nadużywać słów. Przejdźmy więc do innej dziedziny, gdzie nadużycia są bardziej jeszcze radykalne. Więcej — gdzie działanie zastąpione jest nie tylko przez gadanie, ale wręcz przez drzemkę.

Kiedyś bez decyzji ministra nie można było rozstrzygnąć sprawy załatania dziury w moście w Nowinach Małych. Obecnie tej sprawy nie można załatwić bez jakiejś narady w obszernym gronie, bez sejmiku, sympozjum lub przynajmniej kursokonferencji.

Oczywiście, jest sporo spraw, które trzeba omówić w tak zwanym szerszym gronie. Ale nie po to, by je załatwić, lecz raczej zamanifestować i podkreślić. Nie oszukujmy się, jeszcze żadna genialna myśl nie zrodziła się na konferencjach i masowych naradach. A nawet przeciwnie. Jest bowiem pewien gatunek ludzi, którzy życie uważają za doskonałą — i w końcu... jedyną — okazję do gadania. Piszą więc słowa i płyną, a wszystko, co ma jakiś sens, topi się w tej powodzi. Wartość słowa spada do zera, może nawet niżej. Po trzech dniach zjękani ludzie rozjeżdżają się, a dziennikarz mozoli się nad notatką, że... Że co?

Osobiście nie mam, jeśli tak można powiedzieć, serca do siedzenia... A poza tym uważam, że należy pracować głową i rękami, a nie czym innym.

Potężnym źródłem dewaluacji słowa jest nasza wciąż tak żywotna biurokracja, bujna twórczość okólnikowo-zarządzeniowa. Darujmy sobie tu — zbyt łatwe w końcu — przykłady. Wyciągając wniosek ogólny: z romantycznej wiary w skuteczność słów wynika groźne niebezpieczeństwo zastąpienia działania — przez gadanie.

A jak słabe jest słowo — będzie można sprawdzić na przykładzie tego felietonu. Gdyby słowo było mocne, wszystkie te bzdury, które tu potępiłem, znikłyby już jutro. Niestety, głupstwo jest mocniejsze, o czym donoszę z prawdziwym żalem.

DAN

MINUTA MYŚLENIA

Juwento-humanizm

CZY Lovell przestraszył się opinii młodzieżburcy? Jego „Koncert na viola d'amore" jest antytezą „Koncertu na trąbkę". O ile w „trąbce" mieliśmy obraz pustoty aż do wrzasków czynionych na ulicy, o tyle w „violi" powagę i szczerość uczucia aż do śmierci. Wprawdzie i mnie się również zdarzyło co nieco na tym świecie przeżyć i dzięki temu nie dowierzam w pełni lovellowskim realiom, traktując je jako fikcję literacką, ale przyznam, że i to nowe postawienie problemu nie rozmija się z jego istotą.

A przede wszystkim — z jego złożonością. To żaden relatywizm, czy wykręt, jeżeli się stwierdzi, że i młodzież jest „różna". Jeżeli widzimy na jej dolnych kończynach tylko dziury, w dłoniach tylko tranzystorową skrzyneczkę, a w głowach tylko projekty nowego „ubawu" czy „skoku", jesteśmy tak samo dalecy od prawdy, jak ciotka widząca w tej młodzieży samą układność odgrywaną zresztą przez tę młodzież dla celów charytatywnych. Żeby ciocie nie przyprawić o szok.

Młodzież jest „różna" przez samą naturę, która i pod tym względem osiąga swą niezaprzeczalną pełnię. Przez odwieczną naturę ludzką. Jeżeli się w tej naturze znajdują takie cechy, jak skłonność do szczerości, pragnienie uczuć, poszukiwanie prawdy i sensu, co da się stwierdzić na przykładzie całych wieków i pokoleń, to zbyt wielkim komplementem w stosunku do jednego pokolenia byłoby przyznanie mu w takim stopniu niezależności od tej psychologicznej determinanty ludzkości.

Tak więc i naszą młodzież charakteryzuje nie sam wytworzony z elementów supernowoczesności moralny, obyczajowy, estetyczny „turpizm". Więcej obiektywizmu! Zastanówmy się, ile z tych „typowo młodzieżowych" przywar młodzież dziedziczy od pokolenia starszego. Np. „tumiwisizm" legitymujący się tak wspaniałymi dokumentami na polu przemysłu, urządzeń komunalnych, organizacji życia zbiorowego. Przecież młodzież widzi, jak to „starsi, solidni" ludzie produkują kłamki, które odpadają po tygodniowym użyciu, jak kładą parkiet zmieniający się niebawem w kupkę klocków, jak budują ściany więźowców krzywe i nie pionowe mimo majstrów, inżynierów, kierowników nadzoru (rzeczowniki dopominające się w wielu wyrazkach o cudzysłów) itp. I całkiem słusznie, jeśli się odżegnuje od moralistów wymagających kuratora, lekarzy wymagających leczenia.

Nie znaczy więc, że jest wszystko o key, jeśli się rachunek pokoleń „wyrównuje" i podwójnie w ten sposób uderza w podstawy normalizacji naszego bindeko o key, jeśli się rachunek ponaszej, dorosłej strony medalu w dyskusjach na tematy młodzieżowe. Czyli, że od Lovella po obu tych koncertach oczekiwać by teraz nalażało jakiegoś „koncertu na suwak Noniusza i libelle".

A śmierć Iwy? Nie oczekujmy dowodów na rzeczowy stosunek do życia w popełnianiu samobójstw i nie zacierajmy rąk z tego powodu, że jednak młody człowiek nie jest tak lekkomyślny, skoro potrafi odebrać sobie życie, ale coś tu ze zdawkowo potępiającego sądu trzeba będzie zmienić. Są sprawy, które młodzież obchodzą poważnie, są cechy charakteru świadczące o tej młodzieży nie najgorzej, trzeba tylko zacząć patrzeć okiem spokojnym i własnym, nie nastawionym przez sezonową publicystykę, która bardziej ceni sobie aktualność i atrakcyjność tematu, aniżeli słuszność wypowiedzianych opinii. Tak więc trafniej może zamiast „wyspecjalizowanego" problemu młodzieży byłoby poznać problem społeczeństwa, zamiast o młodym człowieku mówić o człowieku w ogóle. Jako, że są ideały humanistyczne, nie ma natomiast juwentohumanistycznych.

Ijon

BIG-BEAT

A dlaczego ja pokutuję?

PANIE Redaktorze! Znalazłem w „Szpilkach" wiersz Antoniego Marianowicza pt. „Wyznanie". Pozwolę go sobie tu przytoczyć:

„Głupio mi teraz, że przed laty
Czytałem wiersze tamtych panów,
Katarynkowe poematy
Przeróżnych Staffów i
[Leśmianów.

Ze wstydu się obecnie płonię,
Że wcale nie gardziłem rymem,
Że zachwycałem się Lechoniem
I że płakałem nad Tuwimem.

Nie mogę pojąć dziś dlaczego
Tak nieświadomie i beztrosko
Na pamięć znałem Słonimskiego
I uwielbiałem Pawlikowską.

Sumienia wyrzut dziś mnie kąsa,
Niewiedzy bezmiar mnie
[przeraża,
Bo Konstantego Ildefonsa
Kochałem, tego piosenkarza.

Już swojej winy nie umniejszę,
Dlatego chodzę wciąż jak struty,
Czytając wiersze — te dzisiejsze...
I to jest droga mej pokuty".

Nie było mnie jeszcze na świecie, kiedy Marianowicz zachwycał się Staffem i Leśmianem, Słonimskim czy Pawlikowską. Miałem kilka latek, kiedy umierał Gałczyński i Tuwim. Poznawałem ich twórczość, i to bardzo jednostronnie, w czasie mniej czy bardziej ciekawych lekcji języka polskiego. Na Gałczyńskiego pozostało zresztą niewiele minut (nie mówiąc o godzinach), bo nasz polonista tak długo tkwił w epoce Mickiewicza i Słowackiego, że potem ślizgaliśmy się tylko po współczesności. Pomieszały mi się kierunki, czuję w głowie okropny zamęt, który powiększa się, kiedy usiłuję zrozumieć dzisiejszą poezję rebusów, łamigłówek. Przecież ja nie muszę pokutować jak Marianowicz!

Rozumiem: poeta pragnie się wypowiedzieć. To mu wolno. Ale dlaczego pisma („Kamena" nie jest tu bez grzechu) rozpowszechniają ten bełkot w iluś tam egzemplarzach? Czy my rzeczywiście cierpimy na nadmiar papieru? Czasami wydaje mi się, że poeci szantażują redaktorów. Przynoszą utwory, które stanowią zlepek niezrozumiałych słów. Znajdzie się ktoś mniej odporny, kto taki wiersz wydrukuje. Poeta idzie do innej redakcji i tu znów reklamuje swą twórczość. „Jak to — mówi — wy nie chcecie wydrukować? Nie macie (towarzyszu, panie, obywatelu) zrozumienia dla współczesnej poezji. Już mnie przecież zamieścili w „Pierwiosnku", a tam przecież siedzą nie byle jacy specę". Redaktor słucha i myśli. „Rzeczywiście, jeśli w „Pierwiosnku"... Puszczę mu ten wiersz dla świętego spokoju". I tak już poeta Iksiński zdążył wydrukować dwa wiersze. Z następnymi kłopot daleko mniejszy, bo ma się już to nazwisko!

Myślę, że podobnie dzieje się i z malarstwem. Są już tacy, którzy malują tylko „światło". Wielkie płótno w jednym kolorze, jaśniejsze w środku, ciemniejsze po bokach, albo odwrotnie. Już nawet nie figury geometryczne, esfloresy, zdeformowane piersi czy głowy. Słowo daje tęsknić się do Chełmońskiego i ciarki przechodzą, kiedy się pomyśli, na co poeci, malarze, kompozytorzy i inni twórcy, którzy przyjdą na świat za lat 50 czy 100, skarzą kolejne pokolenia. Czy nie znajdzie się żaden śmiałek, jak w znanej bajce Andersena, który wreszcie stwierdzi, że król jest nagi?

Ktoś powie: równajmy w górę. Ale dlaczego zaraz mamy równać do zamglonych Himalajów? Czy nie wystarczą Tatry? Beskid Śląski? Złośliwy doda: równajmy do słonecznej Wyżyny Lubelskiej. Owszem, najbezpieczniej: gdy się spadnie, można się otrzepać i pójść dalej. Znacznie gorzej, gdy się nie udaje wspinaczka na Mont Everest. Na Mont Everest wchodzi się zresztą indywidualnie, albo prawie indywidualnie. Na Giewont można już pójść z wycieczką.

Panie Redaktorze! Może Pan to uzna za herezję. Ale jeśli współczesna, bardzo współczesna poezja ma zyskać u nas prawo obywatelstwa, ma się powszechnie podobać — musimy zacząć od generalnej zmiany poetyckiego wychowania w szkołach. Niech na przykład redakcja „Poezji" wystąpi z inicjatywą zorganizowania w czasie urlopów wakacyjnych dwutygodniowego kursu dla grupy polonistów z całej Polski. Niech ci poloniści posłuchają wykładu Białoszewskiego czy Jerzyny, niech wspólnie dokonają rozbioru ich wierszy, niech wreszcie te wiersze pokochają i potem potrafią przekonać swych uczniów, że to jest prawdziwe piękno.

Skutek nie będzie zapewne natychmiastowy. Ale może za lat dziesięć, dwadzieścia czy pięćdziesiąt współczesny Marianowicz napisze:

„... Nie mogę pojąć dziś dlaczego
Tak nieświadomie i beztrosko
Na pamięć znałem
[Białoszewskiego
i uwielbiałem E. Piotrowską..."

Przepraszam, rytm się trochę popsuł. Drobiazg. Za lat pięćdziesiąt powstaną może takie wiersze:

„Igrek, zet ka, em,
[illegible] — dru..."

A jeżeli będzie jeszcze gorzej, Redaktorze?

Ściskam dłoń
Jacek

NOTY i notki

ZGADZAMY SIĘ całkowicie. Katolickie „Kierunki" w nr 36 z 4 września tak zatytułowały swoją wiadomość na str. 2: „Anarchiczne prawa kościelne wymagają zmiany". Chodziło o motu proprio papieża, w którym mowa o tym, aby kardynałowie-staruszkowie rezygnowali ze swoich funkcji. Ale już kilku kardynałów okazało się anarchistami, odmawiając złożenia dymisji.

TROCHĘ nam dęba stawały włosy na głowie, gdy w nr 36 „Służby Zdrowia" w artykuliku „Przed rotacją" co kilka wierszy czytaliśmy takie sformułowania: lekarza wyrotowanego, tamtego wyrotować, rotuje się najsłabszego, zostanie wyrotowany... A może wyrotować kogoś z oddziału chirurgii do redakcji?

W SPRAWOZDANIACH z jubileuszu katowickiej „Trybuny Robotniczej" przeczytaliśmy w całej prasie, że na imprezie było 500 tys. osób. Jeden jedyny „Kurier Lubelski" uparł się, że było 800 tys. osób. Jakie szczęście, że w Lublinie nie ma pisma wieczornego. Zapewne przeczytalibyśmy o milionie.

ILEKROĆ na budapeszteńskim Nepstadionie wręczano medale, rumieniliśmy się ze wstydu. Interwizja i Eurowizja pokazywały wtedy całej Europie, że jedynym artykułem eksportowym, jaki reklamowaliśmy, była „Wódka wyborowa". Właśnie tam, wśród tysiąca sportowców i dwóch tysięcy działaczy sportowych, gdzie alkohol jest — a przynajmniej powinien być — wrogiem nr 1.

MAJĄ LUDZIE szczęście. Jak doniosła „Gazeta Białostocka" pewien obywatel tego województwa wybrał się na grzyby, a znalazł w lesie skuter. Ale Kielce nie gorsze. Gdy dziennikarz ze „Słowa Ludu" jechał koło Huska, ze „Stara" wyskoczyła świnia wagi 150 kg. Dziennikarz poczekał parę minut aż świnia odzyskała przytomność, po czym zawiadomił pobliską gminną spółdzielnię.

NIE ZAGINĘŁA jeszcze uczciwość w narodzie. Przed dwoma laty pani Halinie K. z Rzeszowa skradziono na dworcu krakowskim torebkę z dokumentami i 1800 zł. Dokumenty nadeszły pocztą po kilku dniach. A teraz pani Halina K. otrzymała przekazem pocztowym 1800 złotych wraz z listem „dziękuję za pożyczkę". Na obu przesyłkach był ten sam adres nadawcy z Radomia — oczywiście fikcyjny.

„TYGODNIK DEMOKRATYCZNY" już w 20 kolejnych numerach drukuje pamiętnik przedwojennego wiceministra spraw zagranicznych Szembeka. W ostatnich zaś dwóch numerach rozmowę z jednym ministrem i jednym wiceministrem oraz artykuł jednego wiceministra PRL. Aby było demokratycznie.

„ŻYCIE RADOMSKIE" cały felieton poświęciło opisowi warunków wczasowych w Sielpi. Czytamy, że warunki życia w domkach campingowych są nie do zniesienia, że kajaki dziurawe, opłaty za wypożyczenie rowerów wodnych za wysokie, a piyn w kawiarni to lura nie kawa. A na zakończenie takie optymistyczne wezwanie: „poza tym warto naprawdę przyjechać do Sielpi. Wszystkich tych, którzy planują przyszłoroczny urlop, namawiam — Leszek Wyrwicz". Nie skorzystamy.

(d)

KAZIMIERZ ŁOJAN

Śniąc przed Kongresem

Gdy mnóstwo spraw przyćmiewa jedno słowo —
[KONGRES
I gdy z tego powodu myśli arcy-mądre,
Tudzież hasła wszelakie tłoczą się na łamach —
Mnie już duch wyobraźni — jak fata morgana
Inny obraz przynosi (bo wiadomo przecie
Drugi Kongres mieć będziem na dwutysiącleciu).
Już widzę z tej okazji przegromny afisz
Na budynku „Relaksu", na nim skromny napis
Zdobi z brązu obelisk tknięty czasu ząbkiem:
„Wieszcz Jan tworzył pod lipą — a Łojan... pod
DĄBKIEM".

Jakże się wbije w dumę i jak przy tym wzruszy
Mój pra-pra-pra-pra-wnuczek, westchnie w głębi duszy
I morzem łez obleje dziejów miasta annał;
Łzy ktoś zbierze i ruszy wiekowa fontanna...
A może do Bystrzycy łzy spłyną i rzeka
Po raz pierwszy swej wody nie wzbogaci w ściekach?
Lub może, łzy dla ulic przeznaczą rajcowie
do skrapiania — i będzie czysto... jak w Janowie...
Tu rzeknę, jak Krasicki: wszystko to być może,
Jednakże te prognozy w sferę marzeń złożę...
Cóż... bywa, że fantazja człowieka poniesie —
Gdyby tak życie niosło, gdybym na Kongresie
Zasiadł choć na galerce, choć w ostatnim rzędzie
W górę podniósłbym palce, w duszy rzekł „niech
[będzie!"

I rzucił, niechby zadrżał kongresowy pułap:
„Jam z Lublina, kochani — ja „pro domo sua"!
Wiem, że u nas, jak wszędzie są kolce i róże —
Dziś z nich sporo nie pomnę — ja dziś o kulturze!"
I już słyszę jak ktoś tam głosu mu użycza,
Bo wiadomo — pierwszeństwo, bo — pierwsza stolica...
W duszy może inaczej pomyśli, lecz właśnie
Ja przyznane pierwszeństwo wszystkim tam wyjaśnię:
„Bo któż nas bije? Kraków? Bzdura! — daję słowo:
Kraków miał swoją Wandę, a my — Kaniorową!
Cóż Warszawa — z kolumny Zygmuntowej dumna,
Gdy u nas burmistrz siedzi na czterech kolumnach?!
Co się liczy: tantiemy, format, papier, cena?
„Nowa Kultura" pierwsza była, czy „Kamena"?
Nawet w zatargach z Turcją też trzymamy górę:
Czym Sobieski pod Wiedniem — tym Szot ze swym
Chórem!"

Być może się rozpalę i przekroczę limit
Jąwszy się przeto streszczać, palnę bez wykrętów,
Że wszakoż, delegaci, wiosny nie uczyni
Jeden skromny Pieniążek z Zrzeszenia Studentów.
Niech kultura lubelska — odczujmy to przecie —
Choć jedną stopą stanie w państwowym budżecie!
Bo cenimy recenzje, dyplomy i słowa —
Lecz nam sala potrzebna (choć pół-Kongresowa...)
Choć kochamy tynkować, bo ładnie i taniej —
Miast brązowić Osterwę — dajmy mu mieszkanie!
Polihymnia od dawna rozsadza swe ramy —
Wieniawski dał nam sławę — a my, co mu damy?
Mekka kultury w planach (WDK vel WuDeK),
Lecz w makiecie żyć może tylko krasnoludek!
I tak dalej... problemów mnóstwo bym wymieniał,
Gdyby nie to, że wszystko — to same marzenia.
I znowu się jak co dzień obudzę nad ranem
Nie żadnym Delegatem, lecz zwykłym Łojanem...

P.S.
„Śmiało podnieśmy sztandar nasz w górę!"
Przeciwny temu hasłu być nie chcę —
Lecz kiedy sztandar znaczy kulturę,
Łatwiej podnosić, gdy ma się drzewce...

Żarty z pegazem

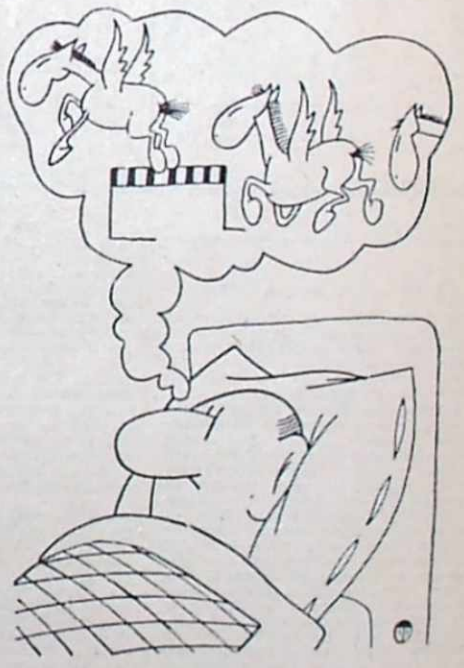

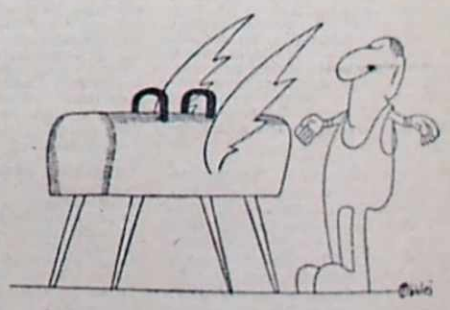

Rys. W. Fuglewicz

Rozstrzygnięcie konkursu poezji ludowej

W RAMACH II Zjazdu Międzywojewódzkiego Klubu Pisarzy Ludowych w Lublinie, zorganizowanego w czerwcu br., rozstrzygnięty został konkurs na poezję ludową, którego organizatorami byli: MKPL, Wydział Kultury PWRN, Redakcja „Kameny", Wydawnictwo Lubelskie i Wojewódzki Dom Kultury w Lublinie. Konkurs miał charakter zamknięty, tzn. mogli wziąć w nim udział wyłącznie członkowie Klubu. W przewidzianym terminie prace nadesłało 65 członków. Jury w składzie: przewodniczący — Zbigniew Kośmiński oraz członkowie: Alina Aleksandrowicz, Zygmunt Mikulski, Roman Rosiak i Stanisław Weremczuk — przyznało następujące nagrody i wyróżnienia:

I NAGRODA — ex aequo:

Hanka Nowobielska z Białki Tatrzańskiej, pow. Nowy Targ.
Jan Pocek z Kalenia, pow. Puławy —
po 750 zł

II NAGRODA — ex aequo:

Stanisław Buczyński z Hrubieszowa,
Piotr Krzykalski z Nowego Sącza,
Adam Pach z Zakopanego —
po 500 zł

III NAGRODA — ex aequo:

Józef Ceynowa z Koronowa, pow. Bydgoszcz,
Władysław Kuchta z Mołodutyna, pow. Chełm,
Józef Malek z Bożego Daru, pow. Bychawa,
Emilia Michalska z Pruchny, pow. Cieszyn,
Helena Waligóra z Białki Tatrzańskiej, pow. Nowy Targ —
po 300 zł

Wyróżnienia książkowe Wydawnictwa Lubelskiego:

Sabina Derkacz, Zagroda, pow. Krasnystaw,
Władysław Drewczyński, Chojnice, woj. bydgoskie,
Stanisław Gąsienica Byrcyn, Zakopane,
Stanisław Gubała, Staniątki, pow. Kraków,
Marian Karczmarczyk, Komarów, pow. Zamość,
Wanda Kościelniak Czubernatowa, Raba Wyżna, pow. Nowy Targ,
Maria Kowal, Bratkowice, pow. Rzeszów,
Władysław Laudański, Baranowo, pow. Szczytno,
Bronisław Pietrak, Gutanów, pow. Puławy,
Andrzej Skupień-Florek, Stołowe, pow. Nowy Targ,
Zbyszko Sławian-Orliński, Kraków,
Franciszek Święcki, Wólka Duża, pow. Wysokie Mazowieckie.

Ponadto organizatorzy konkursu ufundowali dla wszystkich uczestników na pamiątkę udziału również nagrody książkowe.

W bieżącym numerze „Ziemi i Pieśni" publikujemy utwory nagrodzonych poetów.

wieś tworząca w „KAMENIE"

Ziemia i Pieśń

Rok II Wrzesień 1966 Nr 5

Jesienny pejzaż

Fot. J. Urban

HANKA NOWOBIELSKA

Dyscowe krople

W gufrowanyk łubinu listkak
jako na zielonym talorku —
zatrzymały się krople dysca
w ftoryk jakiś tęcy jest okruch.

Wiater skrado się z niedobacka
po młodziućkik, cienkik łodyzkach —
ze sie chwiejom na swoik tackach
małe, śkiące kropelki dysca.

Myślem, ze jest w nik coś z myk wiersy —
zakiel jesień łubiny zrzesy
moze ciepłe wypić ik słonko

by się letką rozwioły mgiełką —
— a mogą tys do ziemie wsiąknąć
coby zycie dać nowym kiełkom...

JAN POCEK

k t o

kto ma dom w malwach dom w słonecznikach
za domem ogród w ogrodzie pszczoły
tego o świcie co dzień radość wita
kiedy przekroczy domu tego progi —
a gdy wieczorem wróci po pracy
przyźba go czeka kawałkiem nieba
i uśmiech żony w miłość bogaty
i skromna z chleba i mleka wieczerza.

STANISŁAW BUCZYŃSKI

Przycupnęły czerwone rubiny

Coś dzwoni, coś dzwoni
W moim sadzie nad ranem:
Lecą jabłka z jabłoni
Rumiane.

Jasność spływa, zrodzona w zaświatach,
W mrok gałęzi i w rosy i cienie,
Mrących jabłek ostatnie ulata
Westchnienie.

Jesień kąpie się w brązu kolorach,
Wszystkie liście jak plamki ze złota
Zapóźnionym wieczorem
Z drzew opada roześmiana tęsknota.

Pod drzewami, w zielonym kobiercu
Przycupnęły czerwone rubiny.
Jabłka toczą się grzmotem po sercu
Jak łzy dziewczyny...

PIOTR KRZYKALSKI

Pod las

Hej! Mojaś ty, moja zono
pumus z dołka w górę pod las
wyniś gnoju ściską stromą —
bo juz na to wielki jest cas.

Krowiny sie nie wyskrobią
z furką gnoju na scyt pod krzyz,
co go gwiozdki z niebios zdobią.
A dyć pudę, dzieci tyz!
Niesą: Ojciec, matka, dzieci
na ramionach w kosyckach gnój,
nad głowami słonko świyci,
wietrzyk z coła ociyro znój.

Piece ramię, bolą nogi,
a dopiyro wynieśli pół,
dzieci prosą: ojce drogi
juz ni mogę, dyć jo nie wół.

Pokrzepiali ojciec, matka
ciepłym słowem prawie co krok,
az wynieśli do ostatka,
nim się zblizył wiecorny zmrok.

Drogą sepcą: jom związany
sercem z ziemią co potem krwią
jest skropiono przez kochanych
dziadków, ojców zrośniętych z wsią.

ADAM PACH

* * *

Zbłądziły trafiły pod strzechy
proste słowa
Ogarnęły słowiańskie narody
skuły poezję ciętą
Łza osiada na oku
I woła pomarli
Ojciec zadżumionych
Cierpienie boleść
surowa
Niegładzona mowa
Elegią Galczyńskiego
Zielona gęś
Przęsło mostu Poniatowskiego
Reduta Warszawa w gruzach
Warszawą się rodzi
Od nowa
I przed światem błyska
Nowym świtem
Gdzieś w zapadłej wiosce
Stary pług rdzę o skiby czyści
Dalej czarowny traktor
Skiby kraje zeżlony wyrczy
Patrzy na to człowiek z miasta
Ziemia pachnie chłop pracuje no i basta
Tysiąc lat zleciało
Jakby z bicza strzelił
Kęs czasu historia zapisana
dużo szumu napisano wiele tomów
Historia się powtarza
Czas leci pod słońcem nie ma
nic nowego
Jak dawniej siwy księżyc w nieboskłonie
Pojazdy kosmiczne
Pana Twardowskiego
Rzuciły w siną dal
Idziemy w nowe tysiąclecie
Starego nam żal

JÓZEF CEYNOWA

Mój kroj

U kraju drzwji
w słoneczku lśnji
Mestwina kamień w dali
i tęcze skre
rozpreściem sie
swojej kuochance fali.

Gdze kamień dznji,
tam pierszeń skrzi,
nen slubny Bołte z matką.
Promnieniem swim
przebjijo dim,
mgławjicę — dokę radką.

Chuoc smętek — zbjir,
nas wcigo w wjir,
kręceszkiem skocze w tonji,
to ojców zew
na jeguo gnjew
puodriwo nas do bronji.

Ten twardi kroj
je naji roj,
buo wzmocnio wolę stałą —
zwycęży bój
a guorści znój
on spłucze swoją falą.

HELENA WALIGÓRA

l i ś ć

zielona blaszka
gładka
lśniąca
okrojona w ząbki
wydłużona w szpic
u podstawy
podobna sercu
żyłkami porżnięta
serce zbrojne
w komórki krwi
w liściu są soki
w sercu
miłość
dobroć
lub żal
serce jest mężne
jak stal
liść zdobi drzewo
chociaż jest mały
a jednak małe liście
często się burzom opierały.

*„Budujcie mosty
którymi lud prosty
pójdzie"*

JANTEK Z BUGAJA

ROMAN ROSIAK

ZAMIESZCZAJĄC poniżej list Jantka z Bugaja do Katarzyny i Donata Lesiowskich, udostępniony „Kamenie" przez Jerzego Krukowskiego ze Starachowic, pragniemy przypomnieć jedynie te fakty z życia jednego z najwybitniejszych poetów ludowych w Polsce, których brakuje w jego liście, będącym prawdziwą i szczegółową autobiografią.

Antoni Kucharczyk urodził się 2 sierpnia 1874 r. w Benczynie, w powiecie wadowickim. Od najmłodszych lat życie przyszłego poety nie miało w sobie nic z sielanki. Szkoła parafialna w Pobiedrze była oddalona dwa kilometry, ale pęd do nauki i wiedzy był większy. Kucharczyk przez cały czas nauki zdecydowanie wybijał się spośród rówieśników, małomówny, poważny i szczególnie chciwy na każde drukowane słowo. Szybko też ujawniły się w nim zdolności artystyczne. Od prostej wiejskiej fujarki z bzu prowadzi droga do skrzypiec i kariery wiejskiego muzykanta, grywającego po weselach i zabawach.

Pierwsza miłość życia — muzyka rychło ustąpiła miejsca literaturze. Dzięki zarządcy majątku Wężyków w Paszkówce, wyjątkowo światłemu chłopu Sroce, mógł Kucharczyk korzystać z jego zasobnej biblioteki i pod wpływem lektury próbować własnych sił. Przypadek zrządził, że Lucjan Rydel, nauczyciel wykładający na kursach Baranowskiego w Krakowie, przyłapał córkę Sroki na czytaniu w czasie lekcji wierszy Kucharczyka, które ojciec przesłał jej w liście. Oczywiście, autor „Zaczarowanego koła" natychmiast zainteresował się samorodnym talentem, zaś w ślad za nim poszli inni poeci. W ten sposób talent typowego „Jantka muzykanta" został wydobyty na światło dzienne

Młody pisarz — parobek, podpisujący swoje utwory pseudonimem „Jantek z Bugaja" szybko trafił na łamy „Gwiazdki Cieszyńskiej" „Wieńca i Pszczółki" i innych pism ludowych. Szczególną opieką otoczył go ks. S. Stojałowski, jak też w ślad za Lucjanem Rydlem — Stanisław Wyspiański, Maria Konopnicka i Włodzimierz Tetmajer, którzy utorowali mu drogę do wydawcy Friedleina w Krakowie.

W roku 1905 ukazał się pierwszy tom poezji Jantka z Bugaja pt. „Blade kwiaty z wiejskiej chaty". W tym też roku odbyło się wesele Jantka, w którym udział wzięli m. in. L. Rydel, Wł. Tetmajer, ks. S. Stojałowski i wielu przedstawicieli inteligencji z Krakowa i Lwowa. Tomik, będący debiutem poety, w krótkim czasie zniknął z półek księgarskich, mimo — jak na owe czasy — wysokiego nakładu, sięgającego liczby 4000 egzemplarzy. Fakt ten pozwolił Jantkowi za honorarium wybudować we wsi Paszkówce przy bugajskim lesie domek, w którym tworzył i żył aż do śmierci.

W ten sposób — jak pisze Antoni Olcha — *„autentyczny parobek wiejski Antoni Kucharczyk — Jantek z Bugaja, jeden z tysięcy wiejskich Janków Muzykantów stał się zawodowym literatem. Jego słowo poety i satyryka, dowcipy polityczne podawano sobie z ust do ust, redakcje gazet zabiegały o jego współpracę, pisano o nim artykuły".*

Dorobek 60 lat pracy twórczej Jantka jest imponujący. Poza wspomnianym już tomikiem wydał on jeszcze pięć innych publikacji książkowych: „Wiersze, piosnki z naszej wioski" (1908) — dedykowane Marii Konopnickiej, „Wiejskich piosnek czar na grunwaldzki dar" (1910), „Z łąk i pól" (1914) — z przedmową Włodzimierza Tetmajera, najcenniejsza publikacja w dorobku poety, „Śpiewniczek polskiego żołnierza" (1916) oraz „Pamiętniki Icka Bombelasa" (1914) — poemat humorystyczny. Poeta wydał też szereg mniejszych utworów satyrycznych, wśród których na uwagę zasługuje nielegalnie drukowany „Pociągiel", w którym ostro wierszem i prozą atakuje Tymczasową Radę Stanu Królestwa Polskiego. W 1934 roku napisał sztukę regionalną „Wesele Magdusi", która była grana przez wiejskie zespoły amatorskie. W 1935 r. napisał też pracę pt. „Erotyczne życie wsi". W latach 1908—12 redagował pisma satyryczne: „Cepy" i „Figlarz", zaś w latach 1933—1934 wraz z Antonim Olchą kierował literackim miesięcznikiem ludowym „Wieś, Jej Pieśń". Wiersze publikował niemal we wszystkich pismach ludowych ukazujących się w Polsce, współpracował też przez dziesięć lat z „Dziennikiem Chicagowskim". Warto podkreślić, że poeta utrzymywał serdeczne stosunki z wieloma czołowymi przedstawicielami ówczesnego świata kultury: Lucjanem Rydlem, Marią Konopnicką, Tadeuszem Micińskim, Emilem Zegadłowiczem, Włodzimierzem Tetmajerem i in. Bliskie więzy łączyły go z Ferdynandem Kurasiem, Józefem Kapuścińskim, Antonim Olchą, Jagienką spod Lublina (Wandą Śliwiną) i in.

Twórczość Jantka z Bugaja, szczególnie zaś jego satyra, w realistyczny sposób ukazywała oblicze wsi, towarzysząc walce ludu o sprawiedliwość społeczną. Oto co pisze na ten temat m. in. Antoni Olcha:

„W najlepszych wierszach społecznych i patriotycznych, w niektórych lirykach, w satyrycznych bajkach, w portretach wiejskich bogaczy, renegatów — przebierańców, plotkarzy, zabobonnych zacofańców, dewotek, pijaków, awanturników, próżniaków, fałszywych przyjaciół, złych żon i złych gospodyń, zarysowują się wyraźnie szerokie możliwości oryginalnego pisarstwa Jantka z Bugaja.

Jest w tej twórczości duża sprawność rzemiosła literackiego, rozmaitość układów rytmicznych, a nawet pewna wynalazczość formalna. Jest obok humoru i niewątpliwa barwność języka, okraszonego nowymi zwrotami z potocznej mowy ludu. Jest dosadność i celność obrazowania oraz opisu wszędzie tam, gdzie poeta wypowiada własną myśl, spostrzeżenia, przeżycia. Jest szeroka skala tematów i zagadnień ważnych społecznie, szeroka skala nastrojów poetyckich od serdecznego śmiechu do gniewnych tonów bojowej satyry, od rzewnego, miękkiego wiersza lirycznego do niemal rewolucyjnej pobudki. Jest naturalna, ujmująca szczerością umiejętność wypowiadania tego, co osobiste, łącznie z tym, co ogólne, społeczne.

Poezja ta mogła liczyć na masową poczytność i rzeczywiście trafiała do tysięcy chłopskich chat".

Do ostatnich chwil życia, tj. do dnia 11 marca 1944 roku, tworzył w swojej rodzinnej Paszkówce wiersze coraz bliższe naszym czasom, coraz wyraźniej wskazujące drogę, prowadzącą do Polski Ludowej. W jednym z nich wzywał do zerwania z wszelkimi mrzonkami i konkretnej pracy dla dobra całego społeczeństwa:

Budujcie mosty nie na mlecznej [drodze,
lecz tu na ziemi, by ludzkość [w pochodzie
nie grzęzła w bagien błocie,
gdy będzie dźwigać wszechmateriały
na gmach ojczyzny wiekuiście [trwały
— Budujcie mosty, którymi lud [prosty
pójdzie.

WŁADYSŁAW KUCHTA

Wiatr jesienny

Orzę i orzę
ian płowy ścierniska,
kładą się skiby
czarne i zadziorne,
jak strofki wiersza,
jak dumki wieczorne...

Wiatr jesienny
goni polem
wystraszone zające,
stąpa po czarnej roli,
utrudzony gonitwą
idzie powoli.

Człapie głęboką bruzdą
tuż za mną i wzdycha,
czy szkoda mu lata,
czy słońca powodzi,
że tak rzewnym głosem
szepcze i zawodzi?

JOZEF MAŁEK

Wieczór na wsi

dzień się przypalił
kapie mrok z dachów
w tłuste wiaderka
wieczornego udoju
dzwonią wiadra u studni
czas wieczornego obrządku
ostatni skłon krzyża
przed nocą miękkiej pościeli

EMILIA MICHALSKA

Myśli

Wieczór gwiozdy wiesza
[u świata powały,
by nimi potrząsnyć
[to by pospadały.

Moja by też spadła
[a jo nie chcę tego,
niech se jeszcze świyci,
[aż do dnia biołego!

Upod mi chłyb! Ach, Bożycku!
Nie pogniwej sie chlebiczku,
żech niezgrabno była,
żech cie upuściła...

Ze starych zamków
[smutek wionie,
ze starych zamków mówią wieki,
a w tamtych wiekach
[chłop na zagonie
nie był człowiekiem!

List Jantka z Bugaja do Katarzyny i Donata Lesiowskich

Paszkówka 13 II (1934)

MOI Drodzi, moi Kochani, Kasieńko i Donacie!

Nic takiego ciekawego ten „Jantek z Bugaja", ot zwykły, prymitywny chłopina, z maturą jednoklasowej ludowej szkoły. Że był od dziecka ciekawy, co to jest życie, na co, po co, przez oczytanie zdobył spory zapas wiedzy, chaosu encyklopedycznej cywilizacji, przez co mu się różne myśli kłębiły w głowie, którymi się dzielił za pomocą pióra z braćmi swoimi chłopami.

Żyjąc przy matce wdowie, na przysiółku Bugaju, z dwoma braćmi i siostrą, w biedzie, co roku za młodych lat udawał się w świat za zarobkiem. To do Prus, Sachsów, to do Morawskiej Ostrawy, to do Buda-Pesztu, gdzie użył przerozmaitej roboty, to na powierzchni ziemi, to w jej wnętrznościach; to na roli, winnicach koło Buda-Pesztu, to przy wielkich ogniskach w Hutach Witkowickich koło M. Ostrawy, na których to hutach tyle ognisk, kominów, co dni w roku. Głodu, barabstwa szczególniej w tej M. Ostrawie użył, też nie mało w środowisku różnych barabasów — co na śmietnikach, po dziurach, zakamarach podmiejskich kwaterował. Dreszczu, lęku, ostatniej chwili życia też zaznałem, gdy w Buda-Peszcie, podczas podobno ulicznej manifestacji socjalistycznej, Pierwszego Maja, fala tysięcy robotników przyparła mnie do żelaznej bramy jednej cegielni, przez którą ręka dyrektora tej fabryki cegieł oparła się zimną lufką rewolweru na mojej gołej, rozchelstanej z koszuli — piersi, ale na szczęście brama ta, zanim strzał puknął, wywaliła się. Ja padł a kulka rewolweru innego trupem położyła... Podniosłem się, bracia robotnicy rwący strugą wodospadu nie zadeptali mię, a dyrektor fabryki tej legnął z rozbitą głową żelaznym młotem jednego z robotników. „Konstabel", czyli policjant (...), jak ciął jednego robotnika szablą, to mu pół twarzy odwaliło się na ziemię...

Do wojska mnie austriackiego wzięto na trzy lata, gdzie nieszczególnie mi się powodziło, nie mogłem bowiem znieść tyranii, odbierania człowieczeństwa ludziom przez oficerów, podoficerów, kanalii fraitrów — przeto reagowałem, za co mnie często karano. Ustąpiono mi, ale żem jest niepoprawny, a widząc u mnie inteligencję, rozum niepośledni, żem mową niemiecką prawie w większej połowie owładnął, zrobiono „kapralem", „zugsfuhrerem", że w trzecim roku miałem sposobność zrewanżować się tym bydlętom z gwiazdkami, którzy mię i biednych żołnierzy tyranizowali. Dziwną psychologię zauważyłem u żołnierzy, bo gdy się z nimi po ludzku obchodziłem, podsłuchałem taką rozmowę: — „I co taki podoficer jak Kucharczyk, to Kaśka, żadnego u niego „stramu" nie ma". O ty pieronie, pomyślałem sobie, czekaj no, ja cię nauczę przy sposobności, że i ja tyranem być potrafię! Niedługo dozorując porządku przy „menaży" — obiedzie, spostrzegłem, że ten niezadowolony z mej ludzkości żołnierz idzie drugi raz po porcję mięsa! Cap go! — Wyście już mięso swoje zjedli! — Panie zugsfuhrer, przysięga się żołnierz, jeszczem nie brał! — Nie brałeś? Zaraz się przekonamy! Kładź palec do ust! — Jeszcze głębiej!!! Żołnierz wpakował palec ile dosięgnął, harknął i porcję mięsa zjedzoną zwrócił na pół z zupą — wyrzygał na beton kuchni... — Jutro do raportu przed pana kapitana, żeś chciał ukraść porcję mięsa. Taki drań ze mnie się stał, kochany druhu Donacie! To była jedyna krzywda w moim życiu, jaką uczyniłem człowiekowi, a której do dziś strawić nie mogę.

Na tych włóczęgach po świecie i graniem po weselach zarobiłem kilkaset złr. Pokochałem cudną dziewuszkę, Magdusię, u kmiecia, zarazem wójta, po którą zgłosił się bogaty masarz, handlarz trzodą chlewną z Krakowa. Ja, ale „Jantek z Bugaja", był chłopak zgrabny, fertyczny, muzykant. Wiersze do gazet pisał, książka jego „Blade kwiaty" wyszła z druku, do tego Magdusię pieściłem słówkami, do miodowych, karmionych ustek całusami dobierać się zaczął, tak moja miluśka i maluśka Magduśka powiedziała rodzicom, co za żadnego handlarza, masarza nie pójdzie, a jak ją nie dadzą za Jantka, to się utopi. Do tego poeta Lucjan Rydel odwiedził mnie, zaswatował i Magdusię, zaś jeden z dyrekcji kolei — urzędnik Jan Smętek, sympatyk ludu, zbieracz jego pieśni i baśni, drugi szwagier także przyjechał i powiedział wójtowi, że on mi córkę swoją da, nauczycielkę, jak mi Magdusi nie dadzą — tak Magdusię mi nareszcie dali i cztery morgi gruntu. Na weselisku był Lucjan Rydel z Jadwisią — żoną, Tetmajer, dużo inteligencji z Krakowa, Bielska, nawet ze Lwowa i z okolicznych dworów. Magdusia miała niecałe 16 lat, a ja już 28. Przyznam Wam się, Kasieńko, druhinio i Tobie, Donacie, druhu, żem po ślubie caleńkie pół roku Magdusi nie napoczął. Z obawy, że takie młodziuśkie i drobniuśkie dziecko jeszcze... Ale przyjaciel doktór z Krakowa — Krociewicz, gdym z tego powodu zachorował, przyznam się do mojego głupiego platonizmu, że siebie i Magdusię rozpalam: „tak mogę siebie i one do nieszczęścia doprowadzić". Zwymyślał mnie tak. Wzięliśmy się wtedy z Magdusią do pracy w Winnicy pańskiej i za półtora roku po ślubie była Zosia. Potem Tadeuszek i tak dalej. Dziewięcioro tego było, z czego się sześcioro chowa.

Za książkę „Blade kwiaty" postawiłem domeczek drewniany i gospodarzyć zaczął, ale nietęgo, bo te cztery morgi lichego gruntu pod lasem nie starczyło na wyżywienie. Biedowaliśmy — ale kochania mieliśmy do przesytu. „Słowo Polskie" we Lwowie zrobiło apel, że się buduję, posypały się datki. Jeden przekaz był nawet z Kaukazu od wygnańca. Jeden od arcybiskupa Bilczewskiego ze Lwowa z 20 złr., listem błyskawicznym i zdaniem: „Posyłam 20 zł na szybkę, którą Jantek z Bugaja będzie poglądał za Magdusią". „Macierz Polska" wydała drugą moją książkę — wiersze „Piosnki z naszej wioski" i zapłaciła 200 złr., coś jakby dzisiaj ze 3000 złp. Przykupiłem 2 morgi gruntu, gazety takie i owakie pisały o mnie i o Kurasiu, chwalby było, żem myślał Bóg wie, co ja nie jestem. Znowu wydrukowano mi humorystyczne „Pamiętniki Icka Bombelasa", broszurkę pokaźną, której były 4 wydania. TSL wydało mały zbiorek „Wiejskich piosnek czar na grunwaldzki dar" Podczas wojny w 1914 r. zbiór wierszy „Z łąk i pól" i broszurę „W żydowskiej niewoli". Po pismach ludowych, czasem literackich, drukowano tysiące mych wierszy, no i tak do dnia dzisiejszego.

Powróciwszy z wojny zastałem dom do szczętu okradziony, Magdusia zachorowała umysłowo. Nie wierzyła, że to ja... Oddałem ją do zakładu „wariatów", a sam z dziećmi przechodziłem gehennę, kręgi dantejskiego piekła. Bóg dał, że Magda ozdrowiała po roku. Koszta leczenia były ogromne. Trzeba było sprzedać 2 morgi, by je spłacić. Błagałem J. Bojkę — senatora, by mi zniżkę u rządu wyrobił, ale ten odpowiedział, że skarb państwa pusty, tego mi nie zrobi. Posłał mi na ironię kilkadziesiąt marek, za które kupiłem sobie na koszulę, bo leciała ze mnie jedna, jaką miałem. Dowiedziano się w Ameryce o mej biedzie i zaangażowano mnie do współpracy w dzienniku związkowym z płacą 130—150 zł miesięcznie. Pisałem tam lat 7, byt sobie poprawił i syna Stacha do matury zdania wykształcił. Znów padło nieszczęście, syn Tadeusz mający lat 18 zachorował umysłowo. Był to chłopak jak królewicz urodny, ten ale nie pozdrowiał, jest beznadziejny, doktorzy orzekli czarną melancholię. Taki już jest do dzisiaj, gorszy ze wszystkim jak ostatnie bydlę. Syn Stach po maturze w domu, po roku na Uniwersytecie Jagl., bo opłaty wygórowane. Córkę najstarszą Zosię wydałem za redaktora Zajączka do Warszawy. Redagował „Rozwój" antysemicki. Przeniósł się do Bielska. Organizuje robotników i wydaje pismo w duchu Nar. Demokracji. Z wydaniem Zosi chybiłem — bo ten redaktor nerwus i zaciekły zwolennik Nar. Demokracji. Prześliczna ta córka Zosia — że gdy byłem z nią w Krakowie, to wycieczka z Poznania, gdy ją zobaczyła w stroju wiejskim krakowskim, otoczyła nas w koło i nie mogła się jej napatrzeć. Trzy lat temu kupiła 1 morgę ziemi za 3100 zł. Pożyczyłem na to 2200 zł. Kryzys znowu się rozpoczął. Tak morduję się z tym długiem, by mnie nie wywłaszczono. By nie dar „Gwiazdki Cieszyńskiej" czytelników, co mi z okazji 35 jubileuszu złożyli 1000 zł, już bym nie miał z rodziną dachu nad głową ani garstki ziemi.

Dziś, gdy to piszę, faktycznie mam tylko jedną koszulę i kalesony złatane, gdy żona pierze, jestem nagi, w płaszczu, póki to na piecu nie uschnie. Żona bez buciąt, dzieci również, ale nadzieja jest, że już mnie nie wywłaszczą długi z zagrody naszej. Wczoraj skończył się karnawał, w którym grałem po weselach, zabawach, że zarobiłem około 80 zł, które posłałem na spłatę raty dłużnej. Na koszulinę, bucięta mam nadzieję w konkursie, na który posłałem pracę, albo może gdzie indziej piórem zarobię. Czasem się udaje, że jakieś honorarium złapię. Wyście, druhu kochani, Kasieńko i Donacie młodzi, a po wtóre do niedawna za kordonem byliście, tak mało co o Jantku z Bugaja wiecie. Kiedym ale przed wojną redagował „Cepy", prof. Uniw. Warszawskiego prenumerowali to (...) pisemko.

Jak z tego, co Wam napisałem wnioskujecie, niezgorszy ze mnie chłopina, przede wszystkim szczery. Talent mój niby literacki nikły, ale co do humoru, satyry — to sam się pochwalę, że równego pomiędzy ludowymi nie mam. Wisielczy humor był mi i jest tym antidotum, że to, co przechodziłem i przechodzę nie skłoniło mnie do wybrania jakiej lekkiej śmierci, no i Magdusia też była mi i jest tym cukierkiem, co mi życie słodzi. Wierzę, że Wy, Kasieńko druhinio i Donacie, również się kochacie, czego Wam winszuję i życzę, bo to jedyny dar życia mający prawdziwą wartość poza wszystkim innym.

Pracę w amerykańskich gazetach polskich utraciłem po ostatnich wyborach, z powodu, że szczerze, prawdziwie podałem, jak się te wybory odbyły. Konsulat polski udał się do redakcji i w imieniu Rzeczypospolitej Polski, żem jest jej szkodnikiem że znieważam Piłsudskiego, wykołatał, że mnie od współpracy usunięto; odebrano mi i rodzinie ten kawałek chleba od ust głodnych...

W rewolucję — Czuchnowskiego — nie wierzę (...) W socjalizm jego mów też nie wierzę — bo cóż zrobił w Polsce najsprytniejszy socjalista, gdy się dorwał do władzy?... Idący na śmierć z nędzy, biedy, pozdrawiać go muszą, pomnikom się jego kłaniać i takowe mu fundować... Ci, co robotnika niby bronili, żyli luksusowym życiem za grosz z niego wyciskany. Gdy w Bielsku zarzucił te przymioty socjaliście Pająkowi, że ma ośmiopokojowe mieszkanie, na wielkopańskiej stopie żyje, odpowiedział mi, że on się stara, by każdemu towarzyszowi było tak dobrze, jak jemu... Nie wiedział, co powiedzieć, gdym powiedział mu na to, że w takim razie każdy towarzyaz musiałby mieć 30 000 towarzyszy, co by na niego ze swojej pracy haracz płacili!... A czy to można? Oświaty, tylko oświaty, świadomości swojej godności, praw i siły potrzeba dzisiaj, a jutro Polska Ludowa będzie! Nie z skrwawionym sztandarem, nie z piłą Szeli, ale z pracą, sprawiedliwością — z ideą największego myśliciela ludzkości: Kochaj bliźniego jak siebie samego.

Zresztą Wy, kochani, Kasieńko i Donacie, lepiej to ode mnie rozumiecie. Piszę, żebyście dodatnie i ujemne moje dane widzieli, jakim jestem. Pisemko nasze, mam nadzieję, że się utrzyma, widoki są po temu. Wami się cieszy, bo to dwa cenne talenty w naszym zespole. Ja, zdaje się wiosną, gdy się w ziemię zaryję, z redaktorstwa ustąpię, bo czasu miał nie będę, po drugie już to lat kopa — sklerozа ciało i ducha obejmuje. A jeszcze jedno. Moja najpiękniejsza wiara to jest ta: nie spodziewać się po śmierci ani nagrody w niebieskich migdałach, ani kary w piekielnym ogniu, ani sławy pomnikowej na grobie, a być dobrym, szlachetnym człowiekiem w całym tego słowa znaczeniu. Pomimo zera pozagrobowego być milionerem za życia w dobrych czynach, szczerym dla drugich, co są z biedą...

Przebaczcie mi, Kasieńko, Druhinio, Donacie, Druhu, ten bazgroł taki chaotyczny — bo chciałem się Wam szczerze, prawdziwie przedstawić i zdobyć Was jako sympatyków „Jantka z Bugaja", póki to jeszcze żyję.

Donacie, Druhu! Ucałuj Kasieńkę, Druhinię moją, uściskaj, a Ty Druhinio swego Donata nawzajem — po przeczytaniu tego listu, co niech będzie na intencję mych pozdrowień i uścisków dla Was.

WASZ JANTEK Z BUGAJA

PS. Profesor Ligoń mi pisze, co w najbliższym czasie będzie mówił o naszym pisemku i jego współpracownikach. Ja nie mam radła, zanotujcie to treściwie i przy sposobności poślijcie, bom ciekawy, co On to o nas powie. Numer skompletowany już przed tygodniem wysłałem już do druku.